POLSKI ZWIĄZEK EKSPLORATORÓW. JEST SZANSA NA INTEGRACJĘ

ODKRYWCA®

SKARBY • WOJNA • HISTORIA

NR 5 (232) MAJ 2018 CENA 14,70 Z ł IWFRIIVATS"I NAKŁAD 12 100

RZYM6RSK1E.:1

DORNIER Z JEZIORA

TAJEMNICA TRAGICZNEJ KATASTROFY SPRZED LAT...

> LUBAŃ-ODKRYCIE WEWNĄTRZ SCHRONU

> GÓRING I KOŁOBRZESKIE GOBELINY

> FRONTOWE PIECZYWO, ŻOŁNIERSKI CHLEB...

www.odkrywca.pl

SPIS TREŚCI

ODKRYCIA I POSZUKIWANIA

4 PODZIEMNE TAJEMNICE LUBANIA
ŁUKASZ ORLICKI

8 POLSKI ZWIĄZEK EKSPLORATORÓW
KAROL SOBERSKI

KONFERENCJA „ODKRYWCY"

10 KATASTROFA DORNIERA DO-24 T-3
JAN NOWICKI

16 HERMANN GÖRING – GRABIEŻCA KULTURY, CZYLI TAJEMNICA KOŁOBRZESKIEGO ARCHITEKTA
ROBERT MAZIARZ

KULISY HISTORII

20 SENSACYJNA UCIECZKA ANGLIKÓW
ANDRZEJ DOBKIEWICZ, SOBIESŁAW NOWOTNY

28 POLOWANIE NA WILHELMA KOPPEGO. CZĘŚĆ 1
LESZEK ADAMCZEWSKI

36 DUŃCZYCY, WĘGRZY I INNI W TWIERDZY
EDWARD HAŁAJKO

44 ZDJĘCIA PROFESORA REGUŁY
MACIEJ BARTKÓW

KOLEKCJONERSTWO

50 OD SUCHARÓW DO CHLEBA POLARNEGO
TOMASZ BIENEK

WĘDRÓWKI ODKRYWCY

58 OBIEKT ALFA
JACEK DROŻDŻ

FORTYFIKACJE

64 SCHRONY WĘZŁÓW ŁĄCZNOŚCI KOLEJOWEJ BASA. CZĘŚĆ 2
BOGUSŁAW MUSIELAK

FELIETON

70 KASA, MISIU, KASA
RADOSŁAW BICZAK

KSIĘGARNIA „ODKRYWCY"

71 NOWOŚCI MAJA

10

28

36

50

PODZIEMNE TAJEMNICE LUBANIA

CO KRYJE SIĘ W ŚRODKU?

ŁUKASZ ORLICKI

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Więcej czasopism o historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

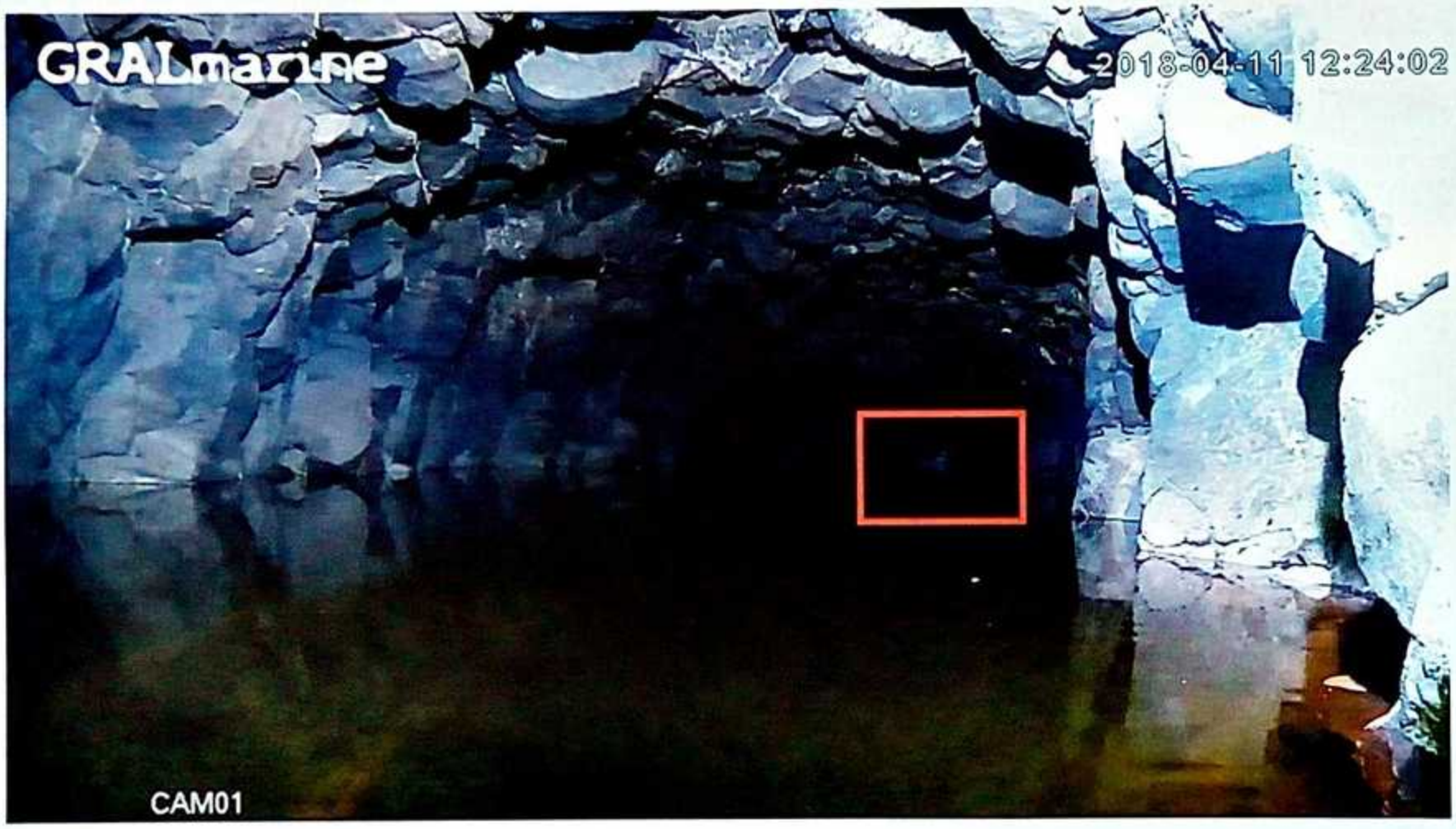

To już drugi, ale nieostatni etap badań. Dzięki dodatkowemu oświetleniu mogliśmy zobaczyć obraz aż z kilkunastu metrów. W obu kierunkach nie widać przodków bądź zawałów zamykających przejścia. Możemy zobaczyć jednak coś innego…

W czerwonej ramce zaznaczony w głębi korytarza obiekt – prawdopodobnie wózek górniczy lub... skrzynie.

10 marca 2018 roku wiertnica firmy Maxam już za pierwszą próbą przebiła się przez 20 metrów skały i wwierciła do wnętrza schronu. Chwilę potem do wąskiego otworu wprowadziliśmy kamerę firmy Gralmarine. Gdy na ekranie zobaczyliśmy stabilną konstrukcję, solidną drewnianą obudowę i niezawalony odcinek korytarza, mogliśmy odetchnąć z ulgą. Najważniejsze

fot. Gralmarine/Odkrywca

dwa pytania – czy schron został wybudowany i czy zachował się w dobrym stanie – zyskały odpowiedź. Podziemia istnieją i są drożne co najmniej 100 metrów w głąb góry, bo w takiej odległości od wejścia udało się nam najdalej wwiercić do środka. Co dalej?

Dwie metody wejścia

Naszym głównym celem, realizowanym dzięki miastu Lubań i przy wsparciu Stowarzyszenia Miłośników Górnych Łużyc, pozostaje wejście do wnętrza podziemnego obiektu. Nie jest to proste. Spośród czterech wejść, które zostały oznaczone na planie odnalezionym w lubańskim archiwum przez Tomasza Bernackiego, jedno – zapasowe – z całą pewnością nie zostało ukończone. Niemcy wykonali jedynie 40 m korytarza. Z planowanych 290 m śladów drugiego, które miały wybiegać z pobliskiego skalnego kamieniołomu, nie udało się dotychczas odnaleźć. Natomiast dwa główne wloty, wiodące do wnętrza kompleksu od strony ulicy Parkowej, zostały zawalone lub wysadzone w stopniu uniemożliwiającym szybkie i bezproblemowe odkopanie. To właśnie stopień zniszczenia wejść oraz trudności i koszty, jakie należałoby ponieść, by dostać się do wnętrza góry, spowodowały, że powojenni „poszukiwacze skarbów" z PPT nie zdołali dostać się do środka. Obecnie istnieją dwie metody dostania się do środka. Pierwsze – poprzez wykucie około 20–26 metrowego (w zależności od lokalizacji) szybu, poprowadzonego pionowo w miejscu jednego z udanych odwiertów. Drugim – jest rozwiązanie górnicze, prowadzone poziomo, polegające na odkopaniu jednego z dwóch zasypanych wejść. W tym drugim przypadku zawał, jaki należałoby pokonać, może mieć ok. 30 metrów długości.

Obydwie metody mają swoje wady i zalety. W przypadku bicia pionowego szybu, koszty tej operacji są możliwe do oszacowania. Wiemy, jaką odległość mamy pokonać i jakie trudności możemy napotkać. W przypadku zakończonego sukcesem wykucia odpowiednich rozmiarów szybu, do środka schronu będzie można się dostać, jednak możliwości prowadzenia dalszej eksploracji czy udostępnienia podziemi dla zwiedzających będą ograniczone. Problemy te znikają w przypadku prowadzenia górniczego odkopywania wlotów. Pojawiają się za to inne – zwiększone koszty, trudne do oszacowania z powodu braku wiedzy o długości zawału czy trudności techniczne związane z wybudowanymi przy wlotach współczesnymi placami zabaw. Zanim wybierzemy propozycję dalszego postępowania, warto jest spróbować dowiedzieć się jak najwięcej o podziemiach, do których chcemy się dostać.

AKCJA „SCHRON": W LICZBACH, ZREALIZOWANYCH CELACH I DALSZYCH PLANACH

1. Odwierty mają ok. 100 mm średnicy i głębokość od 22 do 26 m.

2. 11 kwietnia 2018 roku „Odkrywca" wprowadził w odwiert nr 1 kamerę z dodatkowym oświetleniem. Uzyskane zdjęcia publikujemy w tym artykule.

3. Dodatkowe oświetlenie pozwoliło dokładniej obejrzeć korytarze, układ szyn, być może widoczny jest wózek górniczy...

4. W kolejnym etapie badań „Odkrywca" planuje wprowadzenie do sztolni minipojazdów wyposażonych w kamery. Szczegóły wkrótce.

5. Ostatni etap: członkowie „Odkrywcy" wejdą do schronu.

Kamera, oświetlenie i „zjawy"

Odwierty, którymi możemy „zajrzeć" do środka podziemi, mają ok. 100 mm średnicy. Całkiem sporo, gdy chce się do środka wprowadzić niewielkich rozmiarów kamerę inspekcyjną, ale niezbyt dużo, gdy chce się sięgnąć wzrokiem kilkadziesiąt metrów w głąb korytarzy. Kamery HD przekazują wprawdzie dobrej jakości obraz, ale największym problemem pozostaje odpowiednie źródło światła. Nasz stały partner, wrocławska firma Gralmarine, specjalizuje się w konstruowaniu kamer przekazujących obraz spod wody, często z dużych kilkusetmetrowych głębokości. Tym razem specjalnie na potrzeby akcji w Lubaniu przygotowali dla nas specjalną konstrukcję, która miała pomóc rozświetlić kilkadziesiąt metrów w części zalanych podziemi. Do odwiertu wprowadziliśmy zasilaną z akumulatora i przetwornicy wodoszczelną lampę o średnicy 70 mm i mocy 1000 watów. Do tego samego otworu o głębokości prawie 28 metrów wprowadziliśmy używaną poprzednio kamerę rejestrującą obraz poziomy. Wysoka temperatura pracy lampy o tak dużej mocy sprawia, że musi ona pracować pod wodą. Choć w badanym podziemnym korytarzu poziom wody wynosi ok. 60–70 cm, to z uwagi na potrzebę zmiany kąta padania światła, lampę musieliśmy umieścić nad wodą. Od tego momentu mogliśmy jej używać tylko przez kilka minut. Jednak te minuty w zupełności wystarczyły, aby na ekranie ujrzeć nowe szczegóły. Odwiert poddany badaniom został wykonany tuż przy północno-wschodniej ścianie głównego korytarza zaczynającego się od wejścia nr 1 (wg niemieckiej nomenklatury). W sztolni >>>

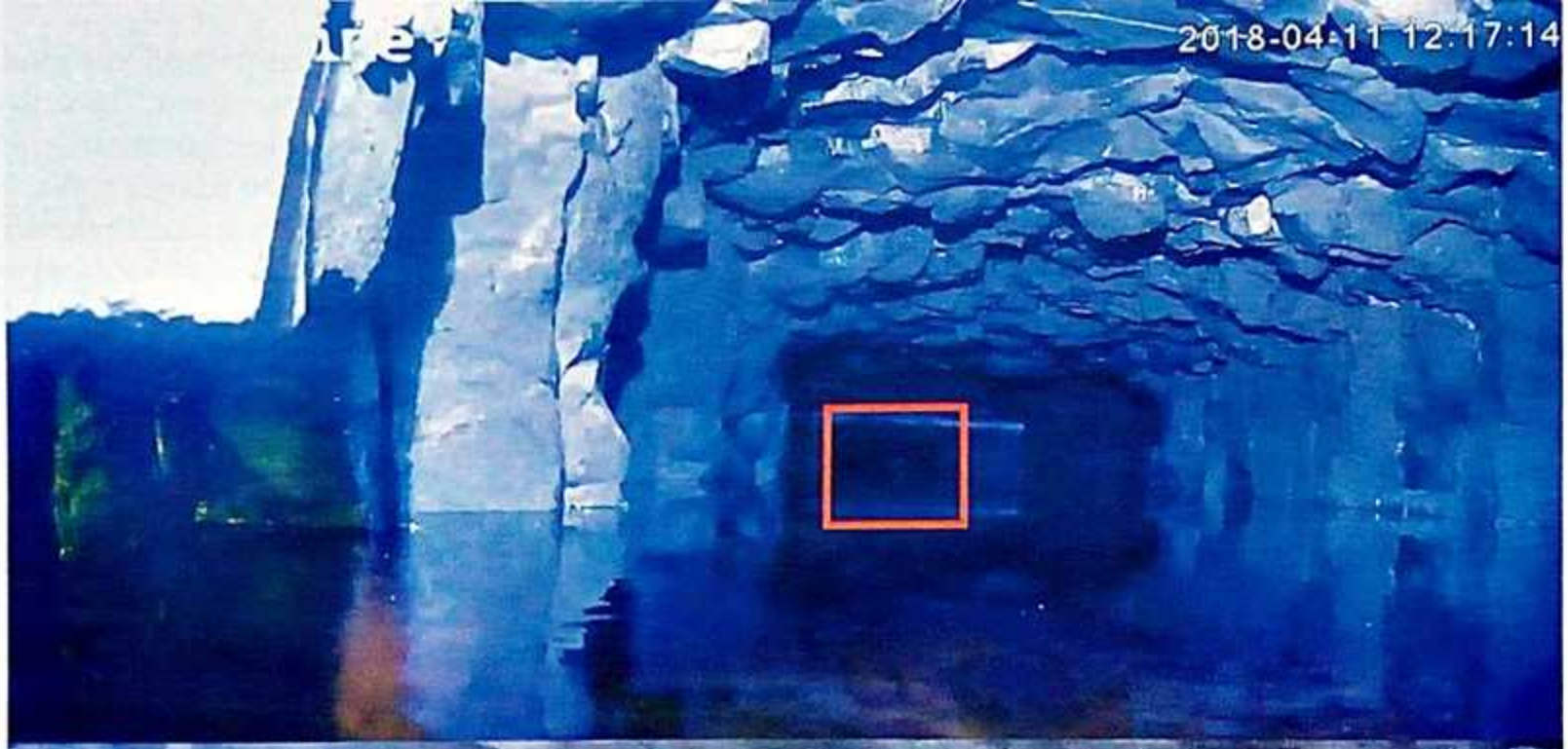
2018-04-11 12:17:14

GRALmarine
2018-04-11 12:10:43
CAM01

CAM01

wyraźnie widać tory z podkładami oraz leżącą bliżej ściany rurę-przewód, być może doprowadzającą sprężone powietrze do młotów służących do drążenia schronu. Obok znajduje się kilka niezidentyfikowanych porzuconych przedmiotów, z których jeden na pierwszy rzut oka przypomina niewielki detonator przewodowy. Niestety mimo dokładnej analizy filmu i wykonanych za pomocą kamery zdjęć nie udało się rozwiązać zagadki przeznaczenia tego przedmiotu. W ścianach sztolni widać co najmniej w dwóch miejscach wystające pręty, które mogą być pozostawionymi, wbitymi w ścianę wiertłami. Najbardziej zagadkowe obrazy widać jednak w głębi korytarzy. Dzięki dodatkowemu oświetleniu mogliśmy zobaczyć obraz z kilkunastu metrów. W obu kierunkach nie widać przodków bądź zawałów zamykających przejścia. Możemy zobaczyć jednak coś innego. Po stronie prowadzącej do wejścia światło odbija się od regularnego sklepienia. To prawdopodobnie drewniana obudowa zabezpieczająca ten fragment korytarza, zatem może znajdować się tam odnoga, wiodąca do pomieszczenia oznaczonego na planie jako pokój medycznej pomocy (niem. Sanitätsraum). W tym miejscu widać dziwną „zjawę" – wysoki przedmiot odbijający światło i znajdujący się pośrodku domniemanego skrzyżowania. Patrząc w głąb schronu, widać coś jeszcze bardziej interesującego. Pośrodku sztolni, w odległości kilkunastu metrów, wyraźnie widać większy kształt, odbijający się w lustrze wody. Znajduje się na środku korytarza na torach i wygląda niczym porzucony wagonik lub duże skrzynie.

Misja schron

Aby przekonać się czym dokładnie są przedmioty widoczne na obrazie, powinniśmy wejść do środka schronu. Mamy nadzieję, że jeden ze wspomnianych wyżej wariantów prac jeszcze w tym roku uda się rozpocząć. Jednak równocześnie zainicjowaliśmy dwa niezależne projekty mające pomóc nam odpowiedzieć na pytanie, co kryje się w dalszych częściach schronu. Zadanie to mają wypełnić niewielkie zdalnie sterowane pływające pojazdy, wyposażone w kamerę. Do realizacji tego skomplikowanego problemu przystąpiły firma Gralmarine oraz grupa konstruktorów związana z łódzką firmą TME. Trudności do pokonania jest całkiem sporo – przesył obrazu na górę, komunikacja i sterowanie pojazdem, odpowiednie oświetlenie oraz napęd. Do tego wszystkiego pojazd nie może przekraczać średnicy 90 mm z uwagi na rozmiar otworu, przez który będziemy go spuszczać do środka.

Zadanie wydawało się niewykonalne. A jednak w chwili, gdy powstaje ten artykuł, oba pojazdy wchodzą w fazę testów.

CDN

Zdjęcie pierwsze: kolejny obiekt w głębi korytarza. Poniżej: w czerwonych ramkach widoczne są wbity w ścianę pręt – końcówka wiertła oraz pod wodą – przedmiot przypominający detonator.

Miejsce odwiertów na wzgórzu Kamienna Góra. Od lewej: Andrzej Daczkowski, burmistrz Lubania Arkadiusz Słowiński, Łukasz Orlicki, Tomasz Bernacki.

Łukasz Orlicki
Szef GEMO – Grupa Eksploracyjna Miesięcznika Odkrywca.

fot. Gralmarine/Odkrywca, Aleksandra Fink

POLSKI ZWIĄZEK EKSPLORATORÓW

KAROL SOBERSKI

Najważniejsza kwestia to integracja środowiska – mówi prezes PZE Jacek Wielgus.

W siedzibie Instytutu Archeologii Uniwersytetu Warszawskiego 7 kwietnia 2018 roku odbyło się Walne Zebranie Polskiego Związku Eksploratorów, w trakcie którego wybrano Zarząd i Komisję Rewizyjną Związku, jak i wyznaczono sobie najważniejsze cele na najbliższe miesiące. Prezesem PZE został Jacek Wielgus.

Przypomnijmy, że pomysł powołania Polskiego Związku Eksploratorów, który zrzeszałby środowisko poszukiwaczy, narodził się 18 listopada 2017 roku w Gnieźnie, gdzie odbyło się też zebranie założycielskie PZE. W Gnieźnie jest również oficjalna siedziba Związku. Po kilku miesiącach ciężkich prac, licznych spotkań, dyskusji i debat nad kształtem PZE, 7 kwietnia 2018 roku w siedzibie Instytutu Archeologii Uniwersytetu Warszawskiego odbyło się Walne Zebranie PZE, w trakcie którego wybrano Zarząd i Komisję Rewizyjną Związku.

Władze PZE

Następnie dokonano wyboru Zarządu PZE. W jego skład weszli: prezes zarządu – Jacek Wielgus (Fundacja Dajna im. Jerzego Okulicza-Kozaryna), wiceprezes – Robert Kmieć (Narodowa Agencja Poszukiwawcza), skarbnik – Piotr Brzozowski (Ostrołęckie Stowarzyszenie Eksploracyjne) oraz członkowie zarządu: Radosław Skowroński (Lubuska Grupa Eksploracyjna „Nadodrze") i Robert Liszka (Stowarzyszenie Historyczno-Eksploracyjne „Triskelion").

Najważniejsze zadania

Jacek Wielgus, prezes zarządu Polskiego Związku Eksploratorów, zapytany o trzy najistotniejsze na dzisiaj sprawy dla Związku, zaznacza, że najważniejsza kwestia to integracja środowiska.

– Mam na myśli uruchomienie procedury przyjmowania nowych członków do PZE, konkretnie chodzi o tzw. „wolnych strzelców". To jest dla nas najważniejsza rzecz, czyli konsolidacja środowiska poszukiwaczy. Wkrótce wystosujemy apel o to wspólne działanie osób z naszego środowiska – mówi Jacek

Wielgus. – Druga ważna sprawa, to rozmowy z instytucjami, z którymi nasze środowisko spotyka się na co dzień. Jako zarząd PZE zaczniemy teraz rozmowy z Lasami Państwowymi. Uzgodnione jest też spotkanie w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Nawiązujemy kontakt z Kancelarią Prezesa Rady Ministrów i chcemy też się spotkać z przedstawicielami Narodowego Instytutu Dziedzictwa i być może ze Stowarzyszeniem Naukowym Archeologów Polskich. Po co to robimy? Otóż chcemy uruchomić nasze procedury szkoleniowe dla poszukiwaczy, aby te środowiska, które krytycznie są do nas nastawione, zobaczyły, że jesteśmy ludźmi poważnymi i że na sercu leży nam dobro dziedzictwa narodowego. Chcemy z nimi skonsultować program tych szkoleń, aczkolwiek będzie to nasz autorski program. Trzecim aspektem, na który obecnie będziemy kładli nacisk, jest budowa struktur terenowych – dodaje.

Komisja Rewizyjna

Po wyborze zarządu obecni na Walnym Zebraniu dokonali wyboru Komisji Rewizyjnej. Utworzyli ją: Sławomir Stańczak (LGE „Nadodrze") – przewodniczący oraz jako członkowie: Natalia Wegner (Fundacja Latebra), Joanna Garbaciak (Stowarzyszenie Radomsk), Dariusz Hasiak (Fundacja Wieży Ziębickiej) i Wojciech Rudziejewski-Rudziewicz (Stowarzyszenie Annopol „Szansa").

fot. R. Kmieć

Jakie decyzje?

– My, jako członkowie PZE, już trochę się „dotarliśmy", więc udało nam się sprawnie przejść przez wszystkie punkty porządku obrad. Przede wszystkim poprawiliśmy statut Związku. Wybraliśmy wszystkie organy władzy Związku i, co najważniejsze, większość Walnego Zebrania. Blisko 4 godziny trwała dyskusja nad udziałem w PZE tzw. „wolnych strzelców", poszukiwaczy niezrzeszonych w żadnych organizacjach. Chodziło tutaj o kwestie ich przynależności do Związku i wpływu na naszą organizację. Była też mowa o wysokości składek członkowskich – mówi o przebiegu zebrania Jacek Wielgus.

Walne zdecydowało, że składka dla osób zrzeszonych w organizacjach członkowskich PZE wynosić będzie 50 złotych rocznie, a dla osób niezrzeszonych – 100 złotych rocznie.

Jak już wspomniał prezes, najważniejszy przekaz Walnego Zebrania to konsolidacja środowiska. – By wspólnie postarać się o zmiany w prawie, konkretnie w ustawie o ochronie zabytków i opiece nad zabytkami, w tej części dotyczącej poszukiwaczy. Na dziś to nas najbardziej interesuje – podkreśla.

Fundusz Ochrony Prawnej

Innym ważnym sygnałem płynącym z warszawskich obrad jest potwierdzenie utworzenia Funduszu Ochrony Prawnej dla poszukiwaczy (takiego jeszcze w Polsce nie było). Jego celem będzie ochrona odpowiedzialnych poszukiwaczy w zderzeniu z obowiązującym prawem. – Zanim cokolwiek zmienimy w prawie, chcemy, by poszukiwacze mogli czuć ze strony PZE wsparcie zarówno w poradach prawnych, jak i w sytuacjach, gdy dojdzie do spraw sądowych, a my uznamy, że ktoś został niesprawiedliwie potraktowany – zaznacza Jacek Wielgus.

Wśród innych celów PZE warto wymienić m.in. tworzenie pozytywnego wizerunku osób zajmujących się działalnością poszukiwawczą w zgodzie z istniejącym prawem oraz propagowanie eksploracji zgodnej z prawem; podejmowanie działań edukacyjnych; ochrona dóbr kultury i przyrody, w tym ochrona szeroko rozumianego dziedzictwa narodowego; kształtowanie i promowanie sprzyjających postaw społecznych wobec organizacji poszukiwawczych, eksploracyjnych i detektorystycznych, czy też działanie na rzecz partnerskiej współpracy organizacji pozarządowych z administracją publiczną wszystkich szczebli.

Kto wziął udział?

To 20 organizacji (stowarzyszeń i fundacji) z różnych stron Polski, które zgłosiły już swój akces do PZE: Stowarzyszenie Eksploracyjno-Historyczne „Grupa Łódź", Wielkopolskie Forum Eksploracyjno-Historyczne WFEH.pl, Fundacja Latebra, Stowarzyszenie Eksploracyjno-Historyczne „Szaniec 1863", Stowarzyszenie Historyczno-Eksploracyjne „Triskelion", Grupa Bory, S.E.-H. „Galicja", Ostrołęckie Stowarzyszenie Eksploracyjne, Muzeum Motoryzacji i Pojazdów Militarnych w Kielcach, Szczecińskie Stowarzyszenie Poszukiwawcze, Fundacja Fort Rogowo, Fundacja Wieży Ziębickiej, Narodowa Agencja Poszukiwawcza, Fundacja Dajna im. Jerzego Okulicza-Kozaryna, Lubuska Grupa Eksploracyjna „Nadodrze", Stowarzyszenie Radomsk, Stowarzyszenie Mieszkańców i Gminy Annopol „Szansa", Grupa Częstochowska „Perun", Pilskie Stowarzyszenie Miłośników Eksploracji „Albatros" oraz Towarzystwo Miłośników Ziemi Suskiej.

Kolejne organizacje czekają na przyjęcie w poczet Związku. CDN

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Więcej czasopism o historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

KATASTROFA DORNIERA DO 24 T-3 NA KAMPER SEE

JAN NOWICKI

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Więcej czasopism o historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

5 marca 1945 roku około godz. 14.30 łódź latająca krótko po starcie spadła do jeziora. Na pokładzie znajdowało się 76 osób, przeżyła tylko jedna.

Nabrzeże lotniczej bazy morskiej Kamp, przycumowana łódź latająca Blohm & Voss Bv 138, 1939 rok.

fot. zbiory autora

W latach 1935–1937 pomiędzy Mrzeżynem (Deep) a Dźwirzynem (Kolberger Deep), na mierzei oddzielającej jezioro Resko Przymorskie (Kamper See) od Morza Bałtyckiego powstała lotnicza baza morska Kamp (Seefliegerhorst Kamp). W lutym i marcu 1945 roku garnizon Kamp znalazł się na szlaku ucieczki niemieckiej ludności cywilnej. W tym czasie była to jedyna droga umożliwiające przedostanie się od strony Kołobrzegu na przeprawy w Wolinie (Wollin) i Dziwnowie (Dievenow). Wśród masy uciekinierów znajdowała się ludność z Prus Wschodnich, Pomorza Gdańskiego oraz dzieci ewakuowane na teren Pomorza w ramach akcji „Kinderlandverschickung". Utworzony przez 81 Eskadrę Ratownictwa Morskiego (Seenotstaffel 81) w dniach 4–6 marca 1945 roku most powietrzny pozwolił uratować około 2500 dzieci, osób starszych i rannych. Nie wszystkie loty ewakuacyjne z lotniczej bazy morskiej Kamp zakończyły się szczęśliwie. 5 marca 1945 roku około godz. 14.30 łódź latająca Dornier Do 24 T-3 krótko po starcie spadła do jeziora. Na pokładzie znajdowało się 76 osób, przeżyła tylko jedna.

Lotnicza baza morska Kamp

W 1935 roku na mierzei oddzielającej jezioro Resko Przymorskie (Kamper See) od Morza Bałtyckiego Niemcy rozpoczęły budowę lotniczej bazy morskiej, a na zachód od jeziora lotniska lądowego. Oba lotniska, Seefliegerhorst Kamp i Flugplatz Kamp, przejęły swoją nazwę od wsi rybackiej Kamp, leżącej przy ujściu Starej Regi (Alte Rega) do jeziora Resko Przymorskie. Garnizon Kamp (obecnie m. Rogowo) był położony 14,5 km na zachód od Kołobrzegu pomiędzy Mrzeżynem i Dźwirzynem. Mimo że oficjalne otwarcie lotniska nastąpiło w 1939 roku, pierwsza formacja lotnicza pojawiła się w Kamp już w lipcu 1937 roku. Była to 2 eskadra 706 dywizjonu lotnictwa brzegowego (2./ Küstenfliegergruppe 706). W tym samym roku powstały w Kamp sztaby 706 i 906 dywizjonu lotnictwa brzegowego (Stab Küstenfliegergruppe 706, 906) oraz 2 eskadra 506 dywizjonu lotnictwa brzegowego (2./ Küstenfliegergruppe 506). W latach 1938–39 zostały sformowane w Kamp eskadry 606, 706 i 806 dywizjonu lotnictwa brzegowego.

Przed wybuchem II wojny światowej wodnosamoloty stacjonujące w Kamp wykonywały loty patrolowe w akwenie Morza Bałtyckiego i w cieśninach duńskich, współpracując z okrętami niemieckiej marynarki wojennej. Od 1 września 1939 roku podstawowym zadaniem było atakowanie okrętów podwodnych, nawodnych na morzu >>>

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Więcej czasopism o historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

>>> i w bazach, niszczenie obiektów nabrzeżnych i wojsk, osłona własnych sił, minowanie wód, prowadzenie rozpoznania i korygowanie ogniem artylerii. Eskadry z Kamp brały aktywny udział w pierwszych dniach września 1939 roku w walkach nad Zatoką Gdańską. Po kampanii wrześniowej przeciwko Polsce dywizjonom lotnictwa brzegowego przydzielono dodatkowo zadanie kontroli ruchu statków na Morzu Bałtyckim. Kampania francuska i konieczność jednoczesnego działania na Morzu Północnym i Morzu Bałtyckim spowodowały reorganizację lotnictwa morskiego. Jednostki stacjonujące w Kamp zostały przeniesione do innych baz na zachód. Po zajęciu w 1940 roku Danii i Norwegii część personelu z Kamp została przeniesiona na pewien okres do Norwegii w celu organizacji nowych lotniczych baz morskich i zabezpieczenia ich działalności. Na początku 1940 roku w Kamp został sformowany morski lotniczy dywizjon uzupełnień (Flieger-Ergänzungsgruppe See), który stacjonował w Kamp do września 1944 roku. Zadaniem jednostki było zaawansowane szkolenie operacyjne i przygotowywanie uzupełnień. W latach 1940–1944 łodzie latające stacjonujące w Kamp wykonywały loty patrolowe i rozpoznawcze, poszukiwały okrętów podwodnych, minowały akweny wodne i prowadziły akcje ratunkowe. Prowadzono intensywne szkolenia załóg dla nowych dywizjonów morskich. Lotniska w Kamp były także wykorzystywane przez różne szkoły pilotów do prowadzenia szkoleń na łodziach latających, wodnopłatowcach i samolotach lądowych.

Pogotowie alarmowe na lotnisku Kamp ogłoszono w pierwszych dniach marca 1945 roku. Tylko wybrany personel otrzymał zezwolenie na ewakuację drogą powietrzną.

Fragment poszycia Dorniera Do 24 T3 z odłamkiem pocisku, wydobyty z jeziora Resko Przymorskie w 2009 roku.

Sprawne maszyny odleciały na zachód, jednak większość sprzętu i wyposażenia z braku możliwości transportowych pozostała na miejscu. Ostatecznie 4 marca po rozliczeniu i zwolnieniu pracowników cywilnych, zakończono ewakuację lotnisk w garnizonie Kamp. Wszystkie obiekty lotniskowe pozostawiono w stanie nienaruszonym.

„Most powietrzny" z lotniczej bazy morskiej Kamp

Dotarcie jesienią 1944 roku Armii Czerwonej do granic Prus Wschodnich (Ostpreußen) wywołało panikę i masową ucieczkę cywilnej ludności. Większość uciekinierów z Prus Wschodnich udała się na Pomorze Zachodnie (Pommern). W czasie ofensywy w styczniu 1945 roku do uciekinierów z Prus Wschodnich dołączyli uchodźcy z Pomorza Gdańskiego (Westpreußen). Wojska II Frontu Białoruskiego 4 marca 1945 roku zdobyły Koszalin (Köslin) i doszły do Morza Bałtyckiego. Oznaczało to rozcięcie niemieckich wojsk Grupy Armii „Wisła" (Heeresgruppe Weichsel) na dwie części. W tym samym dniu pod Kołobrzeg (Kolberg) podeszły radzieckie jednostki gwardyjskie 1 Armii Pancernej. W mieście prowadzono

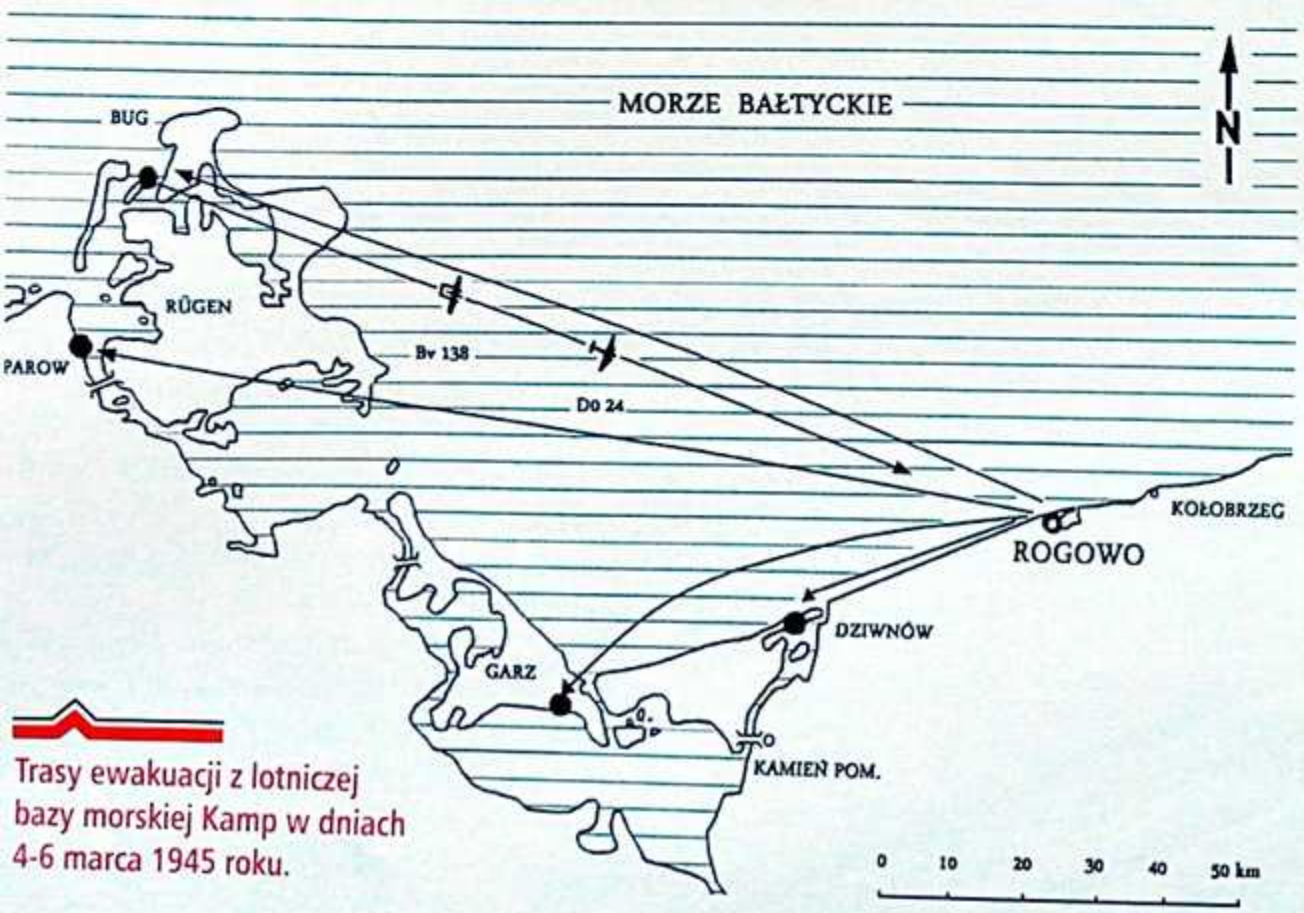

Trasy ewakuacji z lotniczej bazy morskiej Kamp w dniach 4-6 marca 1945 roku.

fot. zbiory autora

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Więcej czasopism o historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

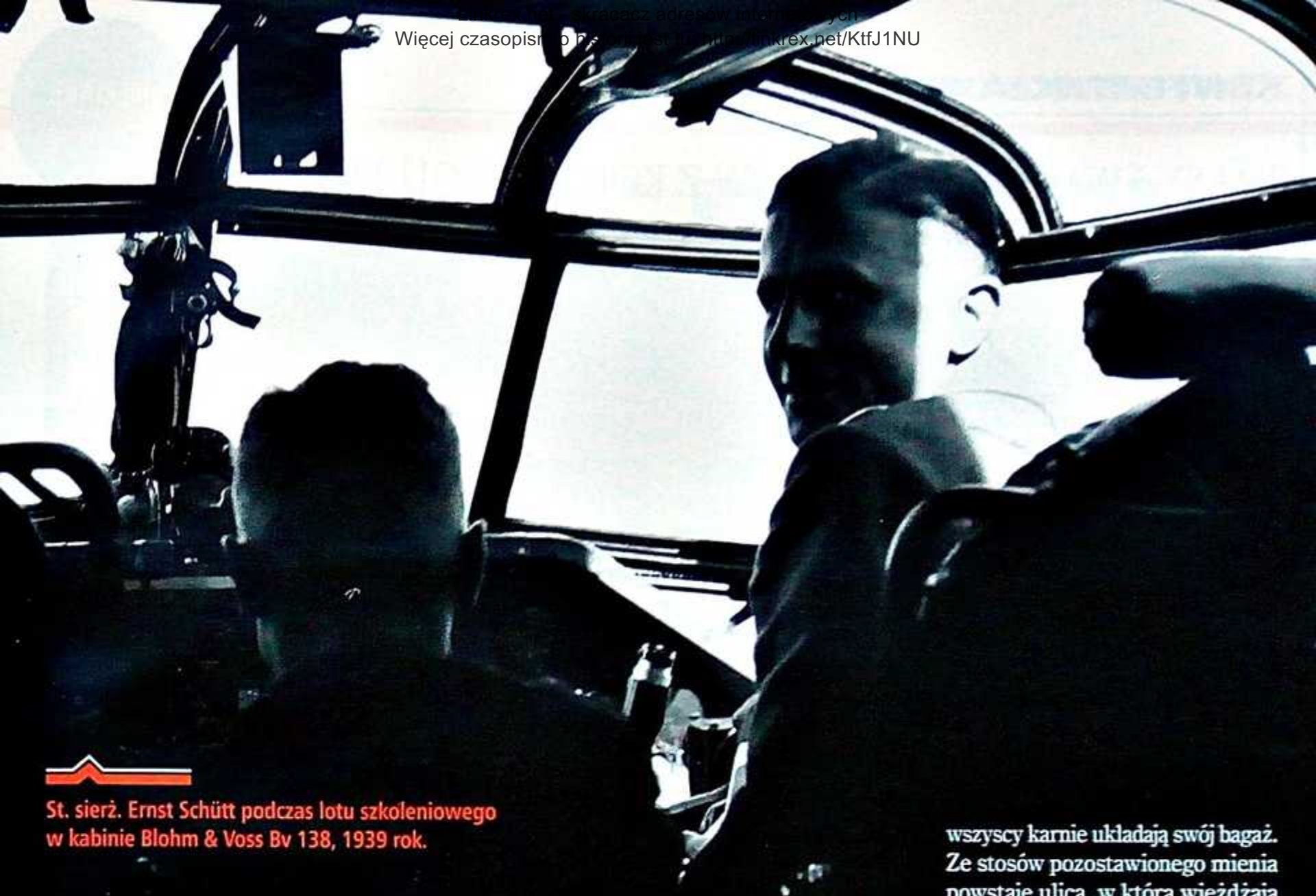

St. sierż. Ernst Schütt podczas lotu szkoleniowego w kabinie Blohm & Voss Bv 138, 1939 rok.

ewakuację ludności cywilnej z wyjątkiem mężczyzn w wieku 16–65 lat. Ostatni pociąg ewakuacyjny z Kołobrzegu do Szczecina (Stettin) został zatrzymany w godzinach rannych 4 marca przez radzieckie czołgi na stacji kolejowej Korzystno (Alt Werder), 6 km na południowy zachód od miasta. Przed okrążeniem Kołobrzegu, przez Dźwirzyno, Rogowo i Mrzeżyno przebiegała droga ewakuacji uciekinierów na przeprawy w Dziwnowie (Dievenow) i Kamieniu Pomorskim (Cammin in Pommern). Z tej drogi korzystały także rozbite pododdziały wojskowe. Jednak ludność cywilna nie chciała opuścić Kołobrzegu, licząc na ewakuację drogą morską. Od 5 marca droga na zachód była już pod kontrolą radzieckich oddziałów pancernych. Następnego dnia w wyniku niemieckiego kontrataku przeprowadzonego z Kołobrzegu w kierunku zachodnim, stanęła otworem droga wylotowa na Grzybowo (Gribow) i dalej przez Rogowo wzdłuż bałtyckiego wybrzeża. Jednak po południu 6 marca przychodzi ze Szczecina do garnizonu Kołobrzeg rozkaz zabraniający dalszej ewakuacji. Tylko przez kilka godzin istniała możliwość wydostania się z miasta. Strumień uchodźców ciągnął się od Kołobrzegu plażą i drogą leśną wzdłuż wydm przez Dźwirzyno na lotnisko Kamp i dalej na zachód. Dochodzące znad jeziora odgłosy samolotowych silników ponaglały do szybszego marszu. Drewniany most łączący garnizon Kamp z Dźwirzynem był zaminowany. Na zachodnim brzegu kanału leżeli żołnierze z oddziału minerskiego (Sprengkommando), gotowi do wysadzenia mostu, czekając na pojawienie się pierwszych radzieckich pododdziałów.

Na wąskiej mierzei przy nabrzeżu lotniczej bazy morskiej Kamp tłumy ludzi czekają na ewakuację drogą powietrzną. Większość przepakowuje bagaże, można tylko zabrać jeden mały pakunek. Wózki dziecięce, torby, walizki, plecaki muszą pozostać na brzegu. Na betonowej drodze przy nabrzeżu piętrzą się pozostawione rowery, stosy pościeli, tobołki, artykuły spożywcze. Mimo zbliżającego się niebezpieczeństwa, wszyscy karnie układają swój bagaż. Ze stosów pozostawionego mienia powstaje ulica, w którą wjeżdżają wozami okoliczni gospodarze i ładują na nie porzucone rzeczy. Czy długo nacieszą się zagarniętym dobytkiem? Front zbliża się nieubłaganie. Budynki koszarowe lotniska są miejscem schronienia i noclegu dla uciekinierów. Niektórzy dotarli na lotnisko pod koniec lutego. Po wielodniowym oczekiwaniu, 4 marca 1945 roku, utworzono most powietrzny z lotniczej bazy morskiej Kamp. Ewakuacja ludności cywilnej i rannych żołnierzy odbywa się drogą powietrzną łodziami latającymi Dornier Do 24 z 81 Eskadry Ratownictwa Morskiego, która wchodziła w skład 81 Dywizjonu Ratownictwa Morskiego na Bałtyku (Seenotgruppe 81/Ostsee). Dywizjonem dowodził kapitan rezerwy Karl Born. W ewakuacji ludności cywilnej brała także udział łódź latająca Blohm & Voss Bv 138 z Kopenhagi. W maszynach pozbyto się broni pokładowej i zabierano paliwo tylko na lot w dwie strony, uwzględniając bezpieczną rezerwę. Łodzie latające, biorące udział w ewakuacji z Kamp, wcześniej brały udział w ewakuacji ludności cywilnej z lotniczej bazy morskiej Nest (Unieście). >>>

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Więcej czasopism o historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

TRASY EWAKUACJI NIEMCÓW Z KOŁOBRZEGU 1945 ROK

Mapa okolic Kołobrzegu i Rogowa. Między 4 a 6 marca dochodzi na tych terenach do dantejskich scen związanych z ucieczką ludności cywilnej przed Armią Czerwoną.

>>> Przy nabrzeżu w czasie ewakuacji rozgrywały się dramatyczne sceny. Głównie znajdowały się tam setki dzieci z opiekunami i młodzież szkolna ewakuowana z miast objętych bombardowaniami w ramach akcji „Kinderlandverschickung". Dotarli tu także uciekinierzy z terenów objętych działaniami wojennymi i ranni żołnierze. Po wystrzeleniu rakiety sygnałowej z nabrzeża, łodzie latające lądowały i podpływały do pomostu. Przy betonowym nabrzeżu znajdował się drewniany, ruchomy pomost, który po najechaniu kadłubem łodzi, zanurzał się pod wodę. Do wsiadania kładziono trap łączący wodnosamolot z nabrzeżem. Niektóre łodzie latające tankują paliwo, działają tylko ręczne pompy, co wydłuża czas postoju i załadunku ewakuowanych osób. Piloci mają problemy z utrzymaniem porządku podczas wsiadania, wszyscy chcą się dostać na zbawczy pokład łodzi latającej. Panuje nieopisany chaos, część ludzi zsuwając się po pochyłym, mokrym pomoście wpada do lodowatej wody. Członkowie załóg przy pomocy broni osobistej muszą przeciwstawiać się napierającemu tłumowi, opóźnia to znacznie czas załadunku. Dodatkowo popłoch i zamieszanie powodują nisko przelatujące radzieckie myśliwce, prowadzące ogień do kolumn uciekinierów podążających na zachód wzdłuż wybrzeża Morza Bałtyckiego. Na południe od jeziora widać słupy dymów nad palącymi się wsiami, do których już dotarły radzieckie czołówki pancerne.

Prowadzące ewakuację łodzie latające w czasie przelotów nie miały ochrony samolotów myśliwskich. Dla bezpieczeństwa loty prowadzano 20–30 m nad morzem, aby uniemożliwić dostrzeżenie maszyny przez nieprzyjacielskie myśliwce. Początkowo ewakuowano uciekinierów do bazy morskiej Bug na wyspie Rugia i do Parow. Aby skrócić czas przelotu i zwiększyć częstotliwość lotów, do ewakuacji wykorzystywano bliżej położone bazy morskie w Garz i Divenow. Po południu 5 marca pięć radzieckich czołgów i 3 transportery opancerzone docierają z Trzebiatowa (Treptow) przez Gorzysław (Arnsberg) do wsi Roby (Robe). Prawie przez godzinę wszystkie pojazdy prowadzą ostrzał terenu garnizonu Kamp oraz startujących i lądujących łodzi latających, którymi jest prowadzona ewakuacja. Nieliczne patrole z lotniska Kamp, znajdujące się na północny-wschód od wsi Roby, odpowiadają ogniem z karabinów maszynowych.

W dniu 5 marca 1945 roku około godz. 14.30 z pracującymi na pełnych obrotach silnikami łódź latająca po oderwaniu się od tafli wody, z wysokości kilkudziesięciu metrów, spada do jeziora. Świadkiem katastrofy był tłum uciekinierów

fot. zbiory autora, zbiory GPRsystem-Lublin, zbiory H. Schütt

Dornier Do 22
Nikolic Djordje
Monografia samolotu Dornier Do 22. Publikacja w języku angielskim. Oryginalny tytuł: „Dornier Do 22. Design, development, testing and service with the Yugoslav, Greek and Finnish Air Force".
To niemiecki trzyosobowy wodnosamolot wielozadaniowy używany podczas II wojny światowej.

Zamów na
www.odk.pl
tel. 42 631 10 97
42 630 71 41
Księgarnia Odkrywcy

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Więcej czasopism o historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

oczekujący na swój zbawienny lot. Nikt nie przeprowadził akcji ratunkowej, wszyscy stali sparaliżowani na brzegu. Wiele osób pod wpływem tego zdarzenia rezygnuje z ewakuacji drogą powietrzną i udaje się pieszo na zachód wzdłuż morskiego brzegu. Na pokładzie Dorniera Do 24 T-3, nr fabryczny 1151 znajdowało się 72 pasażerów i 4 członków załogi. Z katastrofy ocalała tylko jedna kobieta, którą krótko po wypadku zobaczono stojącą prawdopodobnie na górnopłacie Dorniera. Jedna z latających łodzi, która w tym momencie wylądowała, podpłynęła do uratowanej kobiety i załoga za pomocą pontonu zabrała ją na pokład. Większość pasażerów stanowiły dzieci z opiekunami oraz osoby starsze i ranni. Wśród pasażerów było kilka osób z Mrzeżyna. W skład załogi Dorniera wchodzili: dowódca – starszy sierżant Erich Schulz, obserwator – sierżant Ernst Schütt, mechanik pokładowy – starszy sierżant Friedrich Traub i radiotelegrafista pokładowy – sierżant Heinz Bexte. Była to doświadczona załoga, biorąca od początku wojny udział w akcjach ratowniczych. Za oficjalną datę śmierci członków załogi łodzi latającej Dornier Do 24 T3 uznano dzień 5 marca 1945 roku, godzina 14:30. Prawdopodobnie Dornier został trafiony odłamkami jednego z pocisków wystrzelonych przez radzieckie czołgi, które w tym czasie ze wsi Roby prowadziły ogień do maszyn prowadzących ewakuację. O takiej wersji wydarzeń może świadczyć fragment poszycia Dorniera Do 24 T3, wydobyty w 2009 roku z jeziora Resko Przymorskie z tkwiącym odłamkiem pocisku.

Po wypadku następne załogi pilnują, aby nie obciążać zbytnio samolotu. Mimo to na pokład zabierano po 40–50 osób. Ostatni lot ewakuacyjny z Kamp odbył się 6 marca w godzinach popołudniowych. Trudno jest dokładnie ustalić, ile osób zostało ewakuowanych z lotniczej bazy morskiej Kamp w okresie 4–6 marca 1945 roku. Nie zachowały się wszystkie dzienniki lotów maszyn biorących udział w „moście powietrznym". Piloci do dziennika lotów wpisywali tylko ogólną liczbę osób zabieranych na pokład, a dokładne listy pasażerów sporządzano dopiero po wylądowaniu. W przybliżeniu można określić liczbę ewakuowanych z Kamp osób na 2500.

Jan Nowicki
Eksplorator i pasjonat historii Pomorza, autor monografii „Kamp-Rogowo, zapomniane lotniska". Obecnie przygotowuje publikację pt.: „Zaginione eksponaty Niemieckiej Kolekcji Lotniczej z Berlina".

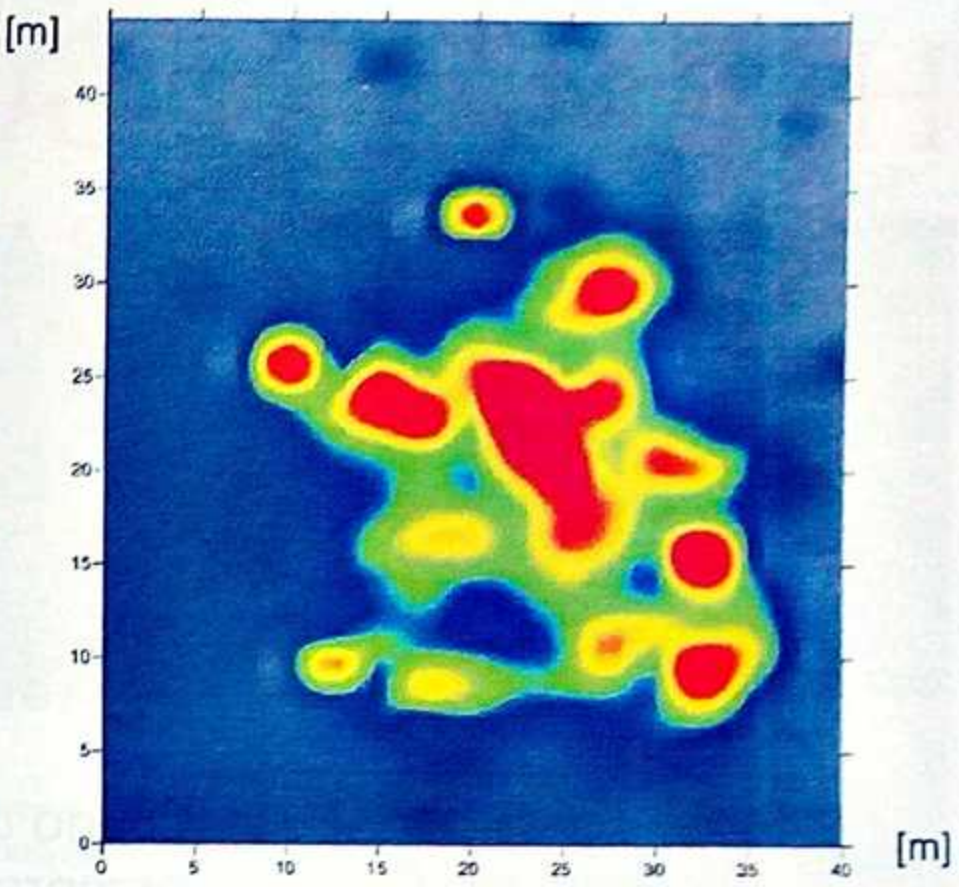

Rzut poziomy pomiarów miejsca zalegania wraku łodzi latającej Dornier Do 24 T-3 w jeziorze Resko Przymorskie.

LITERATURA:

BORN K., „Rettung zwischen den Fronte. Seenotdienst der deutschen Luftwaffe 1939 – 1945", Hamburg 1996

GRANZOW K., „Letzte Tage in Pommern", München 1985

LINDENBLAUTT H., „Pommern 1945", Würzburg 2004

METZMACHER A., „Dornier Do 24 Flugboot Tragödie", Flugzeug Classic 9/2012

NOWICKI J., „Kamp-Rogowo, zapomniane lotniska", Warszawa 2016

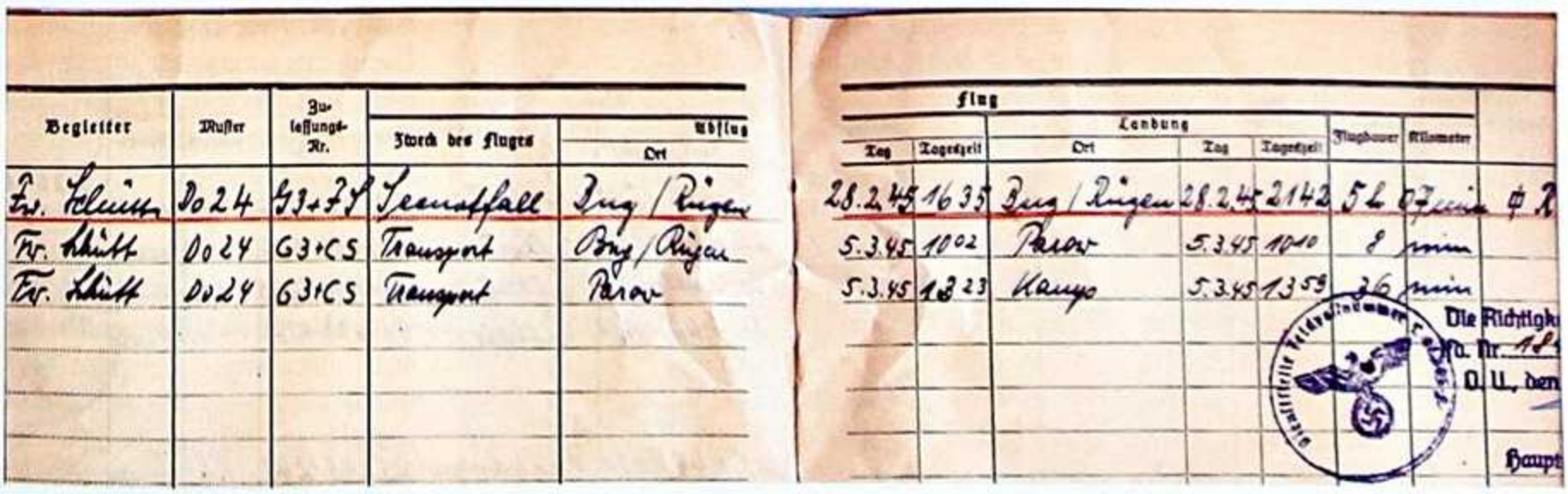

Begleiter	Muster	Zulassungs-Nr.	Zweck des Fluges	Abflug Ort
Fw. Schulz	Do 24	G3+FF	Seenotfall	Bug / Rügen
Fr. Schütt	Do 24	G3+CS	Transport	Bug / Rügen
Fr. Schütt	Do 24	G3+CS	Transport	Parow

Flug						
		Landung				
Tag	Tageszeit	Ort	Tag	Tageszeit	Flugdauer	Kilometer
28.2.45	16 35	Bug / Rügen	28.2.45	2142	5 h 07 min	
5.3.45	10 02	Parow	5.3.45	1040	8 min	
5.3.45	13 23	Kamp	5.3.45	1359	36 min	

Die Richtigk
Fl. Nr. 18
O. U., den
Haupt

Ostatni wpis do dziennika lotów st. sierż. Ernsta Schütta.

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Więcej o czasopiśmie historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

HERMANN GÖRING

GRABIEŻCA KULTURY, CZYLI TAJEMNICA KOŁOBRZESKIEGO ARCHITEKTA

ROBERT MAZIARZ

Czego dotyczyła tajna rozmowa przeprowadzona przez Göringa z kołobrzeskim znawcą gobelinów? Czy chodziło o pozyskanie miejskiego architekta dla rozwijania pasji marszałka III Rzeszy?

Niedzielne zimowe popołudnie. Jak zwykle spędzam dzień wolny od pracy zawodowej w muzealnych podziemiach kołobrzeskiego ratusza. Postać o znajomej mi posturze przekroczyła próg wypełnionej skarbami muzealnej sali. Pochylony lekko i sprawiający niezmiennie wrażenie szukającego „czegoś" wszedł Marek Augustyniak. Odwiedzenie mnie w podziemiach ratusza przez przyjaciela, badacza meandrów kołobrzeskiej historii może tylko znaczyć: „mam historyczny temat, którym należy się zająć".

– Chodź zapalimy, bo mam temat – zagadnął „gość niedzielny", nerwowo przeszukując kieszenie swojej kurtki. Myślałem, że szuka zapalniczki. Jednak on szukał skrzętnie ukrytego „tematu" sprowadzającego do naszego muzeum.

– Spójrz – wyciągnął z kieszeni dłoń, na której znajdowała się blaszana plakietka. Widać było wytłoczone gotyckie litery składające się w napis: „1807 Kolberg 2. Juli 1933".

– Gdzieś to widziałem – zacząłem przeszukiwać szufladki w głowie, starając się przypisać trzymany przez Marka przedmiot do sytuacji lub miejsca związanego z dziejami miasta. Starałem się błyskawicznie odnaleźć klucz do rozwiązaniu zagadki. Daty kompletnie do siebie nie pasowały. Żadna okrągła rocznica.

– Czytaj napis otokowy – Marek z marsową miną zaczął obracać w palcach plakietkę:

„NETTELBECK – SCHILL – GNEISENAU – G RING„

– 2 lipca, ważna data dla przedwojennych mieszkańców Kołobrzegu. Świętowano rocznicę zakończenia oblężenia twierdzy przez wojska Napoleona – kontynuował Marek. – W 1933 również, stąd zawarte na plakiecie nazwiska pruskich bohaterów obrony miasta z tamtego okresu: Nettelbecka, Schilla i Gneisenaua.

– Ale co wśród nich robił Göring? – Postawienie nazwiska ówczesnego premiera III Rzeszy pośród dzielnych obrońców Kołobrzegu z 1807 roku wydało mi się zabiegiem dość groteskowym. Jak widać nie był on irracjonalny dla pomysłodawców stworzenia oglądanej przez nas plakiety.

Hermann Göring na tle ukochanych przez siebie tapiserii.

Na kołobrzeskie obchody w 1933 roku przyjechał Hermann Göring. Naziści emitując te plakiety, chcieli z jednej strony przypomnieć chwalebną rolę Kołobrzegu w ich historiografii, miasta będącego wierną swemu władcy dzielną twierdzą, z drugiej zaś strony wykonali zabieg mający na celu przypisanie cech pruskich bohaterów 1807 roku Göringowi. Wymyślili sprytny sposób indoktrynacji mieszkańców prowincji Pommern, wmawiając im tym samym, że nazistowską Rzeszą rządzą również „wielcy mężowie opatrzności", równi Nettelbeckowi, Schillowi i Gneisenauowi. Był rok 1933, rozpoczęły się w Niemczech rządy faszystowskiej partii narodowych socjalistów, a Hermann Göring grał w niej jedne z pierwszych skrzypiec. Stąd to zadęcie propagandowe nobilitujące drugą po Hitlerze osobę u władzy Rzeszy.

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Więcej czasopism o historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

Rozpoczęliśmy wysuplywanie spośród zwojów mózgowych pamięć o źródłach mówiących o kolobrzeskich obchodach lipcowej rocznicy. Im dalej brnęliśmy poprzez meandry historii bohaterów ją obchodzących, tym wnioski do których dochodził Marek stawały się coraz bardziej sensacyjne...

Gdzie podział się Göring?

Był 2 lipca 1933 roku. Tłum przygotowanych na odświętną paradę mieszkańców miasta, wojska, dygnitarzy partyjnych z całej prowincji oraz gości z Berlina stał pokornie i czekał na Göringa. Uroczystości już dawno miały się rozpocząć, a marszałek III Rzeszy zniknął za drzwiami kołobrzeskiego ratusza... Tłum czekał...

Główny gość uroczystości poprosił o chwilę rozmowy z kolobrzeskim architektem, późniejszym burmistrzem leżącego nad rzeką Parsętą i Morzem Bałtyckim miasta. Czas poświęcony rozmowie przeciągał się. Oczekujące przed ratuszem i klębiące się między domami ulic, prowadzących na kołobrzeski rynek tłumy odnosiły wrażenie jakby czas zatrzymał się i trwał tak w nieskończoność... Hermann Göring za zamkniętymi drzwiami prowadził z Heinrichem Göblem tajną naradę. Nikt nie miał prawa dowiedzieć się, czego ona dotyczyła. Na ogół urzędnik nobilitowany spotkaniem z tak ważną osobą w państwie, jaką bez wątpienia był wówczas Göring, powinien z zachwytem chwalić się tym wydarzeniem. Jednak nie powiedział nic. Nie podzielił się tematem spotkania z nikim. Milczał... Do końca życia zachowywał dyskrecję, nie informując nikogo o przebiegu rozmowy z marszałkiem. Po latach, urodzony w 1910 roku syn kołobrzeskiego architekta, Oswald Göbel, zeznawał enigmatycznie:

„Dnia 2 lipca 1933 roku triumfalnie został przyjęty marszałek polny Hermann Göring w Kolbergu, a mój ojciec musiał go oprowadzić po odnowionym ratuszu. Po oficjalnej wycieczce Göring zaprosił mojego ojca na ściśle prywatną rozmowę na temat jego „hobby", którym były gobeliny. Urzędnik podkreślił, że rozmowa powinna być krótka, ponieważ żołnierze czekali na paradę, ale Göring nie miał nic przeciwko i nie skracał konwersacji. Mój ojciec nigdy nie powiedział nam później o treści tego spotkania".

Marszałek Niemiec Hermann Göring był nie tylko miłośnikiem sztuki. Był on również znanym jej grabieżcą, jednym z największych złodziei materialnych dóbr kultury w historii nowożytnej Europy. Gdy rozpoczął u boku Hitlera podbój kontynentu, jego „pasja" do sztuki sięgnęła zenitu. Rabowano dla niego uznane europejskie muzea, galerie sztuki, prywatne kolekcje, wyposażenia zamków i pałaców. Były as lotnictwa niemieckiego znany był również jako wielki „miłośnik" wspomnianych przez syna Göbla gobelinów. To nie kto inny, lecz Göring przejął w 1939 roku znaczną część arrasów z Kunsthistorisches Museum w Wiedniu. Wywiózł je do położonej na północny wschód od Berlina, w lasach Schorfheide, swej rezydencji Carinhall. Z Kołobrzegu wyjechał obdarowany laską należącą kiedyś do miejscowego burmistrza, obrońcy miasta przed Wielką Armią Napoleona – Nettelbecka. Tego, którego >>>

Marszałek III Rzeszy część zrabowanych z podbitej Europy dzieł sztuki przetrzymywał w swojej luksusowej rezydencji Carinhall, leżącej w lasach Schorfheide.

Göring wraz z towarzyszącymi mu oficerami przed swoją, leżącą na wschód od Berlina, prywatną willą w Carinhall.

fot. Alex Khutovsky, Carmelo Lisciotto: Holocaust Education & Archive Research Team, Wikipedia

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Więcej czasopism o historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

>>> nazwisko znalazło się obok nazwiska Göringa na przyniesionej do muzeum przez Marka plakiecie. Druga osoba w faszystowskim państwie niemieckim opuściła ze sprezentowaną mu laską Kołobrzeg, Göbel zaś pozostał w nadbałtyckim mieście, przypuszczalnie z wielkim życiowym dylematem…

Światowej sławy sługa dywanów

Heinrich Göbel urodził się w 1879 roku w Giessen. Po ukończeniu liceum studiował architekturę w Darmstadt, gdzie doktoryzował się. Gdy w 1910 roku wygrał prestiżowy konkurs architektoniczny w Dreźnie, świat stanął przed niespełna trzydziestoletnim architektem otworem. Otrzymał on wówczas wiele propozycji pracy. Wybrał nadbałtycki kurort. Został głównym i niezwykle płodnym architektem i urbanistą miasta. Pełnił tę funkcję do czasu swej z niego ewakuacji w trakcie oblężenia Kołobrzegu w marcu 1945 roku. Projektował wiele obiektów w mieście, w tym gmach biblioteki, szkoły, basen i sporą ilość budynków socjalnych. Niektóre spośród nich przetrwały wojenną zawieruchę i można je również oglądać obecnie. Nadzorował remont i projektował wystrój wnętrz kołobrzeskiego ratusza. Był ponadto starostą kulturalnym miasta. Po wybuchu II wojny światowej, mimo że, jak po jej zakończeniu zeznawał, nie będąc członkiem narodowosocjalistycznej partii Niemiec – został burmistrzem Kołobrzegu. W międzyczasie dużo pisał oraz wydawał drukiem książki dotyczące nie tylko miasta, które wybrał do życia, ale i… przede wszystkim… wielotomowe dzieła poświęcone arrasom. Był bowiem jednym z najwybitniejszych specjalistów świata badań nad gobelinami! Sam o sobie pisał, że jest „sługą" tej formy sztuki.

Oprócz dziesiątek wyjątkowych publikacji w latach 1923–1934 wydał najbardziej monumentalne dzieło XX wieku poświęcone historii tkaniny. Zawierało ono 1962 strony tekstu i 1512 ilustracji. Do dnia dzisiejszego dzieło Göbla postrzegane jest jako podstawowe źródło i fundament wiedzy na temat tapiserii. Będąc głównym architektem Kołobrzegu Göbel podróżował po świecie. Odwiedzał najodleglejsze jego zakątki, zwiedzał muzealne magazyny i galerie sztuki, utrzymywał rozległe kontakty prowadząc pracę naukową. Miał wiedzę o zasobach europejskich muzeów, wiedział gdzie należy szukać, znał wartość unikatowych kolekcji…

Założyciel Kołobrzeskiego Muzeum „Patria Colbergiensis" wraz z Markiem Augustyniakiem w ratuszowej Sali Rajców, zaprojektowanej przez Göbla.

Marszałkowi Rzeszy potrzebny był specjalista?

Rodzi się pytanie: czego dotyczyła tajna rozmowa przeprowadzona przez Göringa z Göblem w kołobrzeskim ratuszu? Czy nie chodziło o pozyskanie miejskiego architekta dla rozwijania pasji marszałka III Rzeszy? Czy przyszły główny grabieżca dóbr kultury podbitych przez Niemców państw nie rozpoczął w Kołobrzegu planu zbierania danych dotyczących lokalizacji dzieł sztuki, które w przyszłości „warto było anektować" do prywatnej kolekcji? Dlaczego Göbel niebędący (jak twierdził) członkiem jedynie słusznej partii Niemiec NSDAP został burmistrzem nadbałtyckiego kurortu i mógł rozwijać swoje pasje badawcze? Czy kołobrzeski znawca gobelinów nie stał za wskazywaniem lokalizacji wyjątkowych dóbr kultury, które w konsekwencji mogły trafić do Göringowskiego Carinhall? Czy nie był Göbel naukowcem patrzącym chłodno na otaczający go świat, przedkładającym ponad kwestie moralne potrzeby nauki, którą zgłębiał? Mogło tak być, czego dowiódł już we wstępie do poczynionej przez siebie pracy w 1927 roku. Dziękował w niej kolekcjonerom i instytucjom z Niemiec, Belgii i Włoch. Pominął zaś uczonych z innych krajów, co nie przeszkadzało mu w korzystaniu przy pisaniu pracy z ich publikacji… Dodatkowo na stałe po 1933 roku populistyczne rządy niemieckiej partii robotników sprawiły, że przyszły ciężkie czasy dla ludzi nauki, a zaangażowany w swe prace badawcze Göbel potrzebował wsparcia finansowego niezbędnego do ich realizacji. Potrzebował również, a może przede wszystkim spokoju, zaś tajny układ z marszałkiem Rzeszy mógł mu ten spokój zapewnić… Czy zatem nie doszło 2 lipca 1933 roku w kołobrzeskim ratuszu do transakcji między architektem a „pasjonatem dzieł sztuki?" Czy w jej wyniku za niezbędny prowadzącemu prace naukowe „spokój",

Biblioteka Publiczna – jedno z niewielu przetrwałych dzieł kołobrzeskiego architekta.

fot. Marek Kawęcki, Marek Augustyniak, Zbiory Muzeum „Patria Colbergiensis"

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Więcej czasopism o historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

nie zobowiązał się Göbel współpracować z Göringiem? Czy nie został przymuszony przez premiera faszystowskiego państwa do współdziałania? Przyjęcie tej tezy, wziąwszy pod uwagę ówczesne realia, wydaje się wysoce prawdopodobne.

Ewakuacja z Kołobrzegu

W marcu 1945 roku ewakuowany został drogą morską z oblężonego Kołobrzegu. Przeżył upadek miasta, którego był urbanistą i burmistrzem. Przeżył dramat swojego życia. Widział jak piękny, światowej sławy nadbałtycki kurort obracany był na jego oczach w wielkie gruzowisko. Musiał pozostawić w wybranym przez siebie miejscu do życia dosłownie wszystko! Po zakończeniu działań wojennych osiadł w Hamburgu. Pisał stamtąd listy do swoich przyjaciół, m.in. do kuratora starożytnych sztuk dekoracyjnych w Królewskim Muzeum Sztuki i Historii w Brukseli Marthe Crick-Kuntziger i do Josepha Brecka – Kuratora Sztuk Dekoracyjnych w Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku. W liście datowanym na 23 sierpnia 1946 roku, który popełnił z Hamburga do Josepha Brecka, żalił się:

„Minęło wiele lat, odkąd ostatni raz korespondowaliśmy (...) Mieszkam w Hamburgu z żoną i synem. Zostaliśmy zmuszeni do opuszczenia spalonego i zniszczonego miasta Kolberg w marcu 1945 roku. Straciliśmy wszystko: naszą nieruchomość, w tym moją świetną bibliotekę, całe moje archiwum zdjęć, pracę „Wandteppiche" i inne publikacje przewidywane na przyszłe czasy, moje cenne zbiory, a także fotografie i rękopisy książki dotyczące francuskich brązów z ostatnich stuleci wytworzonych techniką or-molu oraz porcelany (...)".

Heinrich Göbel, architekt, burmistrz nadbałtyckiego kurortu, naukowiec i najznamienitszy badacz historii gobelinów, bywalec salonów został zapomniany. Trudno dziś pozyskać wiedzę na temat tego człowieka. Jego wyjątkowe zbiory legły w gruzach miasta, które wybrał sobie do życia. Być może do dnia dzisiejszego tkwią pośród rozplantowanych gruzów Kołobrzegu zgromadzone przez niego złocone XVIII i XIX-wieczne brązy francuskie, zbiory potłuczonej porcelany, wyblakłe zdjęcia utraconych kolekcji i pozawijane przed ewakuacją z miasta arrasy...

Odeszli „koledzy"

Oprócz całego materialnego dorobku swojego życia stracił kołobrzeski architekt również przyjaciół. W korespondencji wysyłanej ze swojego nowego miejsca zamieszkania ubiegał się o kontakty z naukowcami znanymi mu jeszcze sprzed wojny. Przypomniał sobie również o swoich polskich „kolegach" (tak ich nazywał w swych listach), o których zapomniał po wrześniu 1939 roku. Pytał w swej korespondencji o losy „kolegów" Mariana Morelowskiego i dr. Juliana Pagaczewskiego. Zdawał się w swych pismach zapomnieć o randze polskich naukowców, których losami zaczął się interesować, szukając z nimi kontaktu.

Marian Morelowski był naukowcem w randze profesora nadzwyczajnego Uniwersytetu im. Stefana Batorego w Wilnie oraz Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, wkrótce również profesorem i kierownikiem Katedry Historii Sztuki Uniwersytetu Wrocławskiego. Nauczał na tajnych kompletach. Zaś dr Pagaczewski był już w czasie trwania okupacji profesorem zwyczajnym, od 1911 roku kierownikiem Katedry Historii Sztuki Uniwersytetu Jagiellońskiego i członkiem Komisji Centralnej dla Badania i Ochrony Zabytków Sztuki w Wiedniu, przewodniczącym Komisji Historii Sztuki Polskiej Akademii Umiejętności. Jak widać, pisząc „koledzy", miał na myśli naukowców bardziej utytułowanych od siebie. W wysyłanych do ludzi nauki listach z Hamburga wykazał się Heinrich Göbel daleko idącą „niefrasobliwością", zwłaszcza że korespondencja, w której prosił o kontakt z polskimi „kolegami", powstała w 1946 roku... gdy opadł kurz wojenny i obnażone zostały zniszczenia dokonane przez naród, który Göbel reprezentował. Pisał swe listy, gdy cały świat oglądał ogrom zniszczeń dóbr kultury Europejskiej w wykonaniu nazistowskich Niemiec. Widziana oczyma polskich naukowców, dokonywana przez hitlerowców grabież dzieł sztuki, zaprzeczała etyce kulturowej, którą chełpiła się dotąd nacja Göbla. Panowie „koledzy" byli świadkami, do czego zdolny okazał się jego naród, upadający w przepaść, kradnący dosłownie wszystko. Próby powrotu do dawnych kontaktów pozostały bez echa. Środowisko zdawało się unikać kołobrzeskiego znawcy tapiserii, bo o czym, po wojennych doświadczeniach, można było z nim rozmawiać...? <

Robert Maziarz
Muzeum Kołobrzeskie
„Patria Colbergiensis".

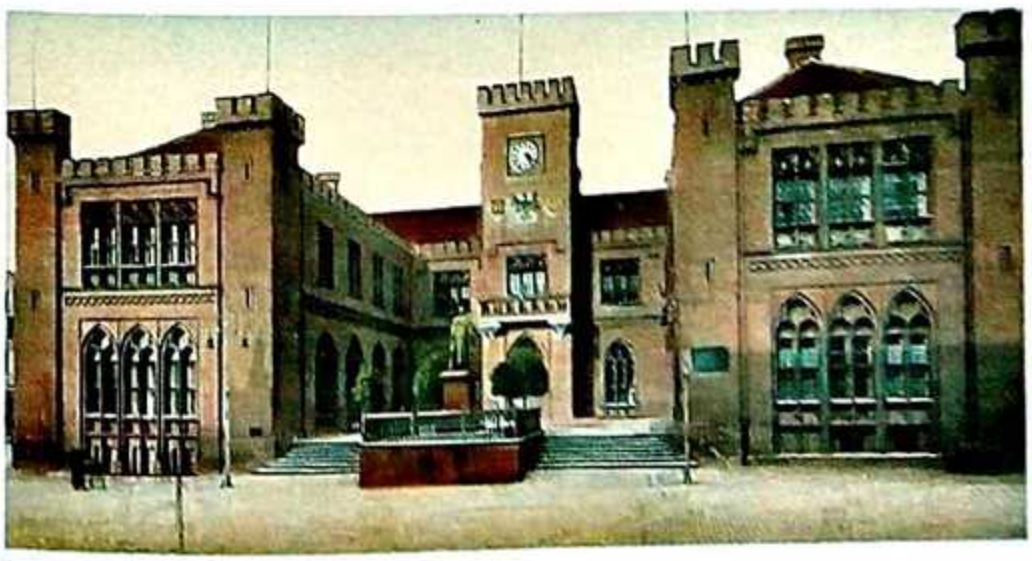

Kołobrzeski ratusz – miejsce tajnej rozmowy miłośników arrasów. Dziś siedziba Kołobrzeskiego Muzeum „Patria Colbergiensis".

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Więcej czasopism o historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

SENSACYJNA UCIECZKA ANGLIKÓW

ANDRZEJ DOBKIEWICZ, SOBIESŁAW NOWOTNY

Podziemny tunel drążyli łyżką, a urobek wyciągali na powierzchnię w kubku, przymocowanym do sznurka.

Ćwierć wieku przed słynną ucieczką alianckich pilotów ze stalagu Luft III w Żaganiu w marcu 1944 roku doszło do niemniej spektakularnej, a dziś całkowicie zapomnianej ucieczki angielskich oficerów z obozu dla jeńców w Świdnicy na Dolnym Śląsku.

Anglicy w Świdnicy

Od czasów króla Fryderyka II Wielkiego Świdnica stanowiła ważny punkt na militarnej mapie najpierw Prus, a następnie cesarstwa niemieckiego. Mimo likwidacji umocnień potężnej twierdzy w II poł. XIX wieku, w mieście aż do 1945 roku stacjonował zawsze silny garnizon wojskowy, oparty o stosunkowo dużą infrastrukturę złożoną z koszar i wielu budynków pomocniczych. Fakt ten umożliwiał organizowanie obozów jenieckich na terenie miasta, w których na przestrzeni XIX i XX wieku przetrzymywani byli między innymi żołnierze duńscy, serbscy, rumuńscy, włoscy, austriaccy, rosyjscy, belgijscy, francuscy oraz angielscy, i to począwszy od wojny prusko-duńskiej w 1864 roku, przez wojnę prusko-austriacką w 1866 roku aż po I wojnę światową. Historia ucieczki oficerów angielskich z obozu jenieckiego w Świdnicy dotyczy tego ostatniego okresu, a konkretnie 1918 roku.

Decyzję o stworzeniu obozu jenieckiego dla angielskich oficerów wziętych do niewoli na froncie zachodnim podjęto zapewne

fot. google/archiv

w 1917 roku. Planowano umieszczenie w nim około 1000 jeńców, którzy mieli być tu przetransportowani między innymi z obozów znajdujących się na zachodnich rubieżach Niemiec, bliżej frontu. Świadczy o tym m.in. zachowana fotografia pokazująca wymarsz kolumny jeńców z obozu w Karlsruhe, właśnie do obozu w Świdnicy w czerwcu 1918 roku.

W Świdnicy powstały właściwie dwa obozy dla alianckich oficerów. Pierwszy został zlokalizowany w 1917 roku na terenie wybudowanego w latach 1879–1881 dużego kompleksu budynków dla schroniska, domu poprawczego i obozu pracy dla nieletnich, zachowanego do chwili obecnej przy ulicy Sprzymierzeńców. Był to tzw. Lager I Schweidnitz. Drugi z obozów – Lager II Schweidnitz powstał w 1918 roku w budynkach dawnego kolegium jezuickiego, także w większości zachowanych przy obecnej ulicy Spółdzielczej.

Pierwszy transport oficerów alianckich, liczący około 100 jeńców, dotarł do Świdnicy 8 grudnia 1917 roku i został rozlokowany w obozie Lager I Schweidnitz. W kolejnych miesiącach docierały do Świdnicy następne transporty, złożone z oficerów angielskich, kanadyjskich i francuskich. Byli wśród nich przedstawiciele różnych rodzajów broni, zarówno lotnictwa, wojsk lądowych, jak i marynarki. Można

Członkowie obozowego chóru, złożonego z angielskich jeńców przetrzymywanych w Świdnicy. Zdjęcie z 1918 roku.

szacunkowo przyjąć, że w obozie tym przebywało ok. 800 jeńców. Kolejnych 200 rozlokowano w obozie Lager II Schweidnitz, tuż obok świdnickiej katedry, co jak się okazało, było w przyszłości nie bez znaczenia dla opisywanych zajść.

Teatr, biblioteka, drużyna piłkarska

Warunki życia alianckich jeńców w Świdnicy, których przeważającą część stanowili oficerowie angielscy, były więcej niż znośne, a wręcz można powiedzieć, że bardzo dobre, biorąc pod uwagę sytuację ekonomiczno-materialną samych mieszkańców miasta. Los ludności Świdnicy w schyłkowym okresie I wojny światowej był bowiem nie do pozazdroszczenia. Zakradające się do każdego z domostw głód i nędza, będące wynikiem czteroletniego prowadzenia wojny na kilku frontach, prowadziły do ekstremalnych sytuacji. Po przysłowiowej niemieckiej dyscyplinie nie było śladu, a wielu spośród mieszkańców miasta stało godzinami pod oknami domu przy Spółdzielczej, gdzie przetrzymywano jeńców, oczekując, że Anglicy z litości rzucą im coś do jedzenia. Znamienne jest bowiem to, że oficerowie angielscy oprócz zwykłych, przynależnych im przydziałów, otrzymywali także mnóstwo paczek z domu i z Czerwonego Krzyża, bądź innych organizacji niosących pomoc. Ta swoista symbioza między Anglikami a wygłodzoną niemiecką ludnością miała zresztą odegrać istotną rolę w opisywanych wydarzeniach.

Ponieważ oficerowie zwolnieni byli z obowiązku pracy, sporo czasu poświęcali na organizację życia obozowego. W obozie działał między innymi chór i teatr, a zachowane fotografie z tego okresu ukazują dbałość, z jaką Anglicy wykonywali chociażby scenografię, kostiumy czy charakteryzacje. Ukazywała się także obozowa gazeta „The Barb". Początkowo w niewielkiej objętości, z czasem urosła do 40-stronicowego magazynu (sic!), redagowanego przez oficerów L. L. Chapmana, B. H. Clarka, J. B. Sterndale-Bennetta, J. B. Daniela oraz porucznika Perry'ego. Zawierała fragmenty prozy, opowiadania, informacje o przedstawieniach teatralnych i życiu obozowym. Wszystko okraszone było typowo angielskim humorem. Do swojej dyspozycji jeńcy mieli także obozową bibliotekę. Na terenie obozu działała też orkiestra, która ćwiczyła i dawała koncerty w dawnym kościele ewangelickim, znajdującym się na terenie obozu Lager I Schweidnitz, a rozebranym dopiero w latach 70. XX wieku. Odbywały się w nim także nabożeństwa w języku angielskim. Zachowane do dziś zdjęcia z tego okresu ukazują również drużyny piłkarskie, które uczestniczyły w wewnątrzobozowych >>>

Wymarsz kolumny angielskich jeńców z obozu w Karlsruhe do Świdnicy w czerwcu 1918 roku.

>>> rozgrywkach. Zmarłych w okresie niewoli jeńców alianckich chowano z honorami na cmentarzu garnizonowym. W latach 30. XX wieku wszyscy pochowani na tym cmentarzu Anglicy zostali ekshumowani i ponownie pochowani na jednym z cmentarzy w Berlinie. Na terenie nekropoli pozostał jednak pamiątkowy obelisk z inskrypcją „Pamięci brytyjskich jeńców" i nazwiskami wszystkich zmarłych żołnierzy. Niestety, podobnie jak sam cmentarz, systematycznie niszczony od maja 1945 roku i ostatecznie zlikwidowany w latach 70. XX wieku, obelisk nie zachował się.

Preludium

Preludium do wielkiej, masowej ucieczki Anglików 19 marca 1918 roku były wydarzenia, do jakich doszło nieco ponad dwa tygodnie wcześniej. W nocy z 2 na 3 marca z obozu Lager II Schweidnitz przy ulicy Spółdzielczej uciekło bowiem dwóch pierwszych oficerów. Jednym z nich był kapitan William Crawshay Loder-Symonds (1886–1918). Służył w Pułku Wiltshire, został ranny pod Le Cateau (Francja) i wzięty do niewoli 24 sierpnia 1914 roku. W październiku tego roku awansowano go do stopnia kapitana. Był jednym z pierwszych oficerów angielskich, któremu zaproponowano internowanie w Holandii, na co się nie zgodził. W 1917 roku trafił do obozu w Świdnicy. O szczegółach tej ucieczki niewiele było wiadomo poza tym, że zakończyła się ona powodzeniem. Po powrocie do Londynu Loder-Symonds został przyjęty na specjalnej audiencji w pałacu Buckingham przez króla Jerzego V Windsora. W odnalezionej w 1989 roku „Kronice kościoła farnego w Świdnicy", spisanej w latach 20. XX wieku, a więc krótko po tej ucieczce, odnaleziono informacje dotyczące okoliczności tej ucieczki, o jakich było wówczas głośno w mieście. Określono ją jako „niefortunne wydarzenie", które ówczesne dowództwo garnizonu świdnickiego starało się zachować w tajemnicy. Obaj oficerowie przetrzymywani byli w domu zaopatrzenia (obecnie nieistniejącym), a na wolność mieli się wydostać przez okno w piwnicy z winem należącym do parafii i dalej przez ogród parafialny. Według plotek uciekinierom miał przy

Widok na obóz Lager I Schweidnitz w 1918 roku przy obecnej ulicy Sprzymierzeńców w Świdnicy.

To samo miejsce obecnie: A – miejsce, gdzie stał dawny kościół ewangelicki; B – miejsce usytuowania trzech baraków.

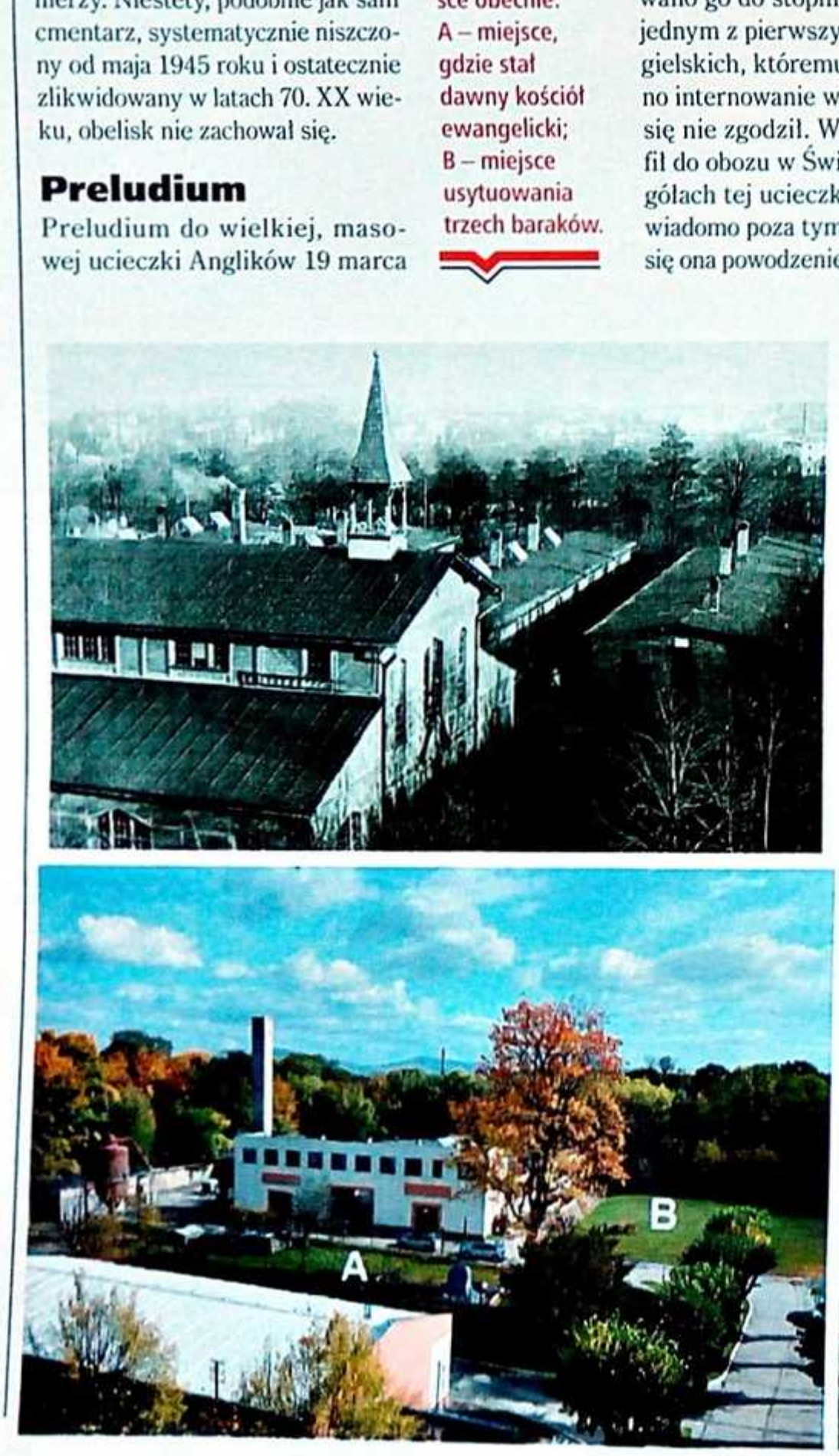

Po prawej stronie zaznaczono miejsce (A), w którym znajdował się jeden z budynków obozu Lager II Schweidnitz. Obecnie za murem znajduje się parking. W tle świdnicka katedra.

Fot. Andrzej Dobkiewicz, „The Tigers" Matthew Richardson,

tym pomóc ktoś z parafii, chociaż autor zapiski w Kronice stwierdza, że wydaje się to kompletnie niemożliwe. Z pewnością jednak przesłuchiwany był ówczesny proboszcz Paul Jende, znany ze swojego oddania rodzinie cesarskiej. Być może właśnie te podejrzenia, negatywne emocje z tym związane i okoliczności ucieczki sprawiły, że kilka miesięcy później doznał on wylewu krwi do mózgu i zmarł trzy dni później, 16 października 1918 roku. Sam Loder-Symonds, który powołany został do służby w 25. Eskadrze Szkoleniowej Królewskich Sił Lotniczych, zginął w wypadku lotniczym 30 maja 1918 roku, pilotując samolot szkolny Airco DH.6. Wolnością cieszył się niecałe 4 miesiące. Niestety, nie są znane personalia drugiego z uciekinierów, podobnie jak i jego losy. Niewykluczone, że zginął podczas ucieczki, bowiem jego powrót do Anglii odbiłby się szerokim echem, podobnie jak udana ucieczka Williama Crawshaa Loder-Symondsa.

Przygotowania

O przygotowaniach do wielkiej ucieczki dowiadujemy się częściowo na podstawie relacji Turna Harkera, jednego z jej uczestników, oraz niemieckich artykułów prasowych, informujących post factum o tym wydarzeniu. Anglicy musieli bez wątpienia nawiązać kontakt z kilkoma osobami spoza obozu – Niemcami, którzy przygotowali dla nich nie tylko cywilne ubrania, lecz także wyposażyli ich w dość szczegółowe mapy tych obszarów Europy. Prawdopodobnie prowadzili handel wymienny z kimś z obsługującego ich personelu. Anglicy oddawali jedzenie, Niemcy przynosili w zamian ubrania, mapy itp.

Jedyną metodą opuszczenia obozu, na którą zdecydowano się po ucieczce kapitana Lodera-Symondsa – po której Niemcy wzmocnili straże, było wykopanie tunelu. Nie było to sprawą prostą, zważywszy na stałą kontrolę obozu, jak i na warunki terenowe. >>>

Próba obozowej orkiestry w dawnym kościele ewangelickim.

Drużyna piłkarska złożona z angielskich oficerów.

>>> Jedynym sensownym kierunkiem, w którym można było poprowadzić tunel, był znajdujący się obok baraków jenieckich teren po wielkiej Wystawie Przemysłu i Rzemiosła, jaka odbyła się w 1911 roku, zamienionego po jej zakończeniu w park (obecnie Park Centralny). Aby jednak pomysł ten można było zrealizować, należało pokonać ostre nachylenie terenu w miejscu, gdzie znajdowała się skarpa po dawnych umocnieniach twierdzy świdnickiej. Jeden z uciekinierów relacjonował, że „w tunelu w momencie kopania mogła przebywać jedynie jedna osoba"- musiał on więc posiadać niewielki przekrój, zaś „ziemię wykopywano łyżkami do jedzenia, a urobek wsypywano do kilku kubków przywiązanych do jednej liny, którą na zasadzie przypominającej kołowrót wciągano stale do góry i spuszczano na dół". Wylot z tunelu wychodzić miał na zapleczu stojącego niegdyś w parku budynku, mieszczącego kawiarnię „Promenaden-Cafe", który zasłaniać miał uciekających przed wzrokiem ewentualnych przypadkowych świadków. Nie wiadomo kiedy się rozpoczęło i ile trwało drążenie 8-metrowego tunelu. Jego wykonawcy musieli przeprowadzić go na tyle głęboko, aby ominąć fundamenty solidnego muru, okalającego parcelę z budynkami schroniska, gdzie funkcjonował obóz. Tunel musiał być jednak gotowy przed 19 marca 1918 roku.

Ucieczka

Do ucieczki doszło w nocy z 19 na 20 marca, przed porannym apelem i sprawdzaniem stanu ilościowego jeńców. Nie wiadomo, czy przez tunel udało się wydostać wszystkim chętnym, czy tylko jakiejś części, wyłonionej w drodze losowania. Faktem jest, że obóz opuściło 24 oficerów. Niejasne są planowane kierunki ucieczki jeńców. Z relacji wspomnianego Turna Harkera jednoznacznie wynika jednak, że ostatecznym celem była neutralna Szwajcaria. Relacje zamieszczane w świdnickiej prasie sugerują, że Anglicy uciekać mieli do Holandii. Być może uciekinierzy celowo rozdzielili się na mniejsze grupy, aby zmylić pościg i zwiększyć szanse powodzenia całego planu. Faktem jest, że część z nich ruszyła na północ, część natomiast w kierunku granicy z Austro-Węgrami.

Masowa ucieczka okazała się o wiele trudniejsza w realizacji niż początkowo to zakładano. Reakcja Niemców była natychmiastowa. Telegrafem poinformowano posterunki żandarmerii i policji, zaś w prasie śląskiej ukazały się wezwania do ludności o obowiązku natychmiastowego informowania policji na temat wszelkich podejrzanych osób, które kręciłyby się po okolicy. Do 22 marca zdołano schwytać 9 Anglików. Dwóch pierwszych pochwycił w pobliżu Modliszowa (ok. 7 km od miejsca ucieczki) tamtejszy leśniczy Weißhampel. Jego pies wyczuł zapach i złapał trop uciekających, doprowadzając po śladach do miejsca, w którym odpoczywali. Stało się to dwie godziny po zauważaniu w obozie braku 24 spośród jeńców. Kolejnego sprowadzono z Pieszyc (ok. 19 km). Dość ciekawego sposobu próbował użyć jeden z oficerów, który zamierzał wydostać się z miasta koleją. Ubrany z fantazją – na głowie miał kapelusz, jaki zwykle noszą artyści, w płaszczu prochowym, w czarnych lakierkach i z aktówką pod pachą, próbował po prostu wsiąść do pociągu i odjechać. Złapali go przedstawiciele straży dworcowej, na „których zrobił wrażenie bardzo eleganckiej osoby". Na dwóch uciekinierów natknął się 21 marca około godz. 10 wieczorem w pobliżu nasypu kolejowego w Goczałkowie (ok. 25 km) wachmistrz

Przedstawienie teatralne „The Importance of being Ernest" wystawione przez jeńców 7 listopada 1918 roku. O ich pomysłowości w zakresie scenografii i strojów przekonują kolejne dwa zdjęcia z nieznanych przedstawień.

fot. google/archiw

Ta piękna dziewczyna to… porucznik Thompson – przykład charakteryzacji wykonywanej przez jeńców na potrzeby wystawianych w obozie sztuk teatralnych.

żandarmerii König, który sprowadził ich pod bronią do Strzegomia, skąd odesłano ich do Świdnicy.

Do 28 marca w obozie brakowało już tylko zaledwie 2 z 24 oficerów, którzy zdecydowali się na ucieczkę. Ciekawostką jest fakt, że niektórzy z jeńców, którym udało się wydostać na „wolność", sami postanowili wrócić do obozu internowania! Zmusiło ich do tego zderzenie z realiami rzeczywistości za murami. Na zewnątrz nie mogli liczyć na jakąkolwiek już pomoc, co przy odległościach, jakie musieliby pokonać w zupełnie obcym kraju, było kluczowe. Istotną rolę odgrywać musiała przy tym pora roku – pamiętać należy, że na ucieczkę wybrano marzec, gdzie nie można jeszcze znaleźć pożywienia na polach, a zapasy zabrane na drogę nie mogły wystarczyć na długo.

fot. google/archiv, http://www.bbc.co.uk, Imperial War Museum

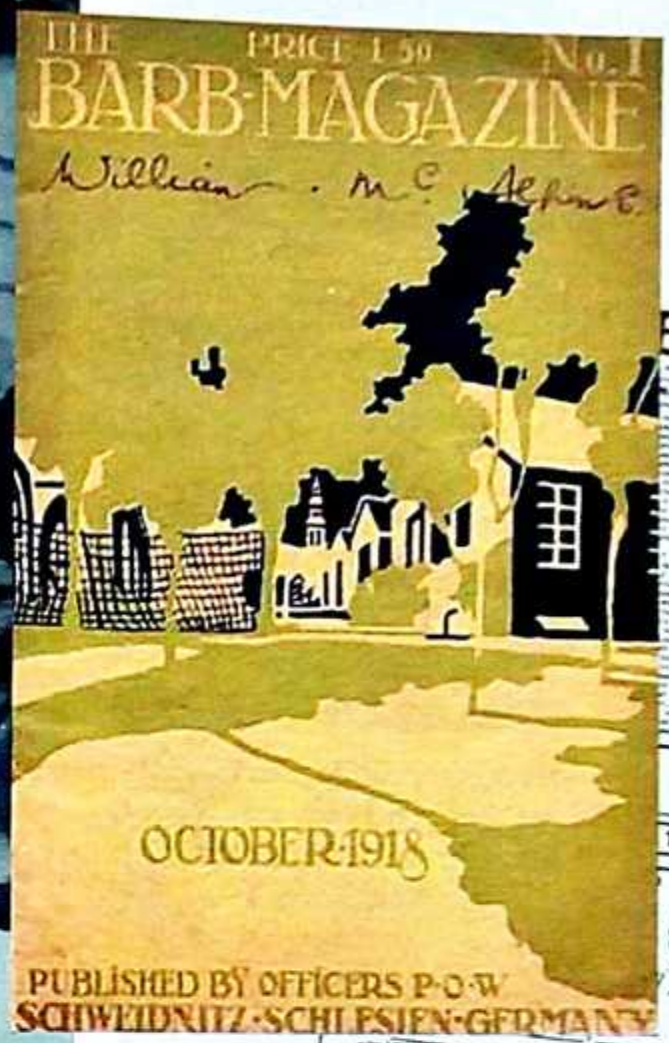

Obozowa gazeta i magazyn „The Barb".

Najwytrwalsi

Najdalej na zachód dotarło dwóch oficerów – porucznik T. G. Holley i podporucznik E. A. Copelland, należący do jednostek kanadyjskich, walczących w czasie I wojny światowej dla brytyjskiego Commonwealthu. Udało się dostać aż do Żar (ok. 161 km), gdzie pochwycił ich patrol tamtejszej żandarmerii. Obaj byli wyjątkowo dobrze wyposażeni, co zdumiało niemieckich >>>

Chleb wysyłany przez Brytyjski Czerwony Krzyż do jeńców wojennych w celu uzupełnienia ich racji. Przed jedzeniem bochenki moczono i opiekano. Ta próbka chleba została przywieziona do domu przez porucznika Franka Camerona z 7. Batalionu Argyll and Sutherland Highlanders – z obozu w Świdnicy. Eksponat brytyjskiego Imperial War Museums.

>>> funkcjonariuszy, a co potwierdza przypuszczenie, że ucieczka była doskonale zaplanowana pod względem technicznym i dokonano jej przy znacznej pomocy z zewnątrz. Posiadali gumowane płaszcze przeciwdeszczowe, a w ich plecaku znaleziono ciastka, konserwy itp., jak również mapy, na których wytyczono dokładną trasę do Holandii. Rewizja osobista wykazała dodatkowo, iż każdy z nich posiadał przy sobie ponad 100 marek w gotówce. Celem przesłuchania odprowadzono ich do Sądu Rejonowego w Żaganiu, a stamtąd sprowadzono koleją do Świdnicy.

Kierunki południowy i częściowo zachodni okazały się dla zbiegów równie pechowe. Dwóch lotników angielskich pochwycono w Jedlince (ok. 21 km). Dwóch kolejnych w drodze do Jeleniej Góry, gdy próbowali przedostać się koleją w kierunku zachodnim. Nakryto ich na próbie wskakiwania do pociągu towarowego w pobliżu Marciszowa (ok. 45 km). Najdalej dotarło dwóch jeńców, wśród których znajdował się wspomniany Turn Harker. Doszli oni w okolice Hradca Kralove w Czechach (ok. 120 km), należących w owym czasie do Austrio-Węgier, gdzie ich aresztowano. Do końca wojny przebywali w jednym z austriackich, pilnie strzeżonych zamków, przerobionych na obóz internowania o zaostrzonym rygorze.

Dumni Niemcy

Przedsięwzięcie zakończyło się więc fiaskiem. Lokalna prasa niemiecka z dumą odnotowała 6 kwietnia 1918 roku, że pojmano wszystkich zbiegłych jeńców świdnickiego obozu internowania. Podkreślano, szybką reakcję na liczne odezwy miejscowej ludności, która pomogła w złapaniu zbiegów.

Wszyscy biorący udział w ucieczce Anglicy – z wyłączeniem dwóch, którzy zostali złapani na terenie Austro-Węgier – stanęli przed sądem. Zarzucono im, że ucieczka była niezgodna z obowiązującymi traktatami międzynarodowymi. Nie skazano ich na śmierć, tak jak to miało miejsce 26 lat później w odniesieniu do części uciekinierów z Żagania. Wszyscy powrócili do swej ojczyzny po zakończeniu I wojny światowej.

Niemcy potraktowali ucieczkę

jako niepospolite wydarzenie. Zostało ono przez nich upamiętnione wydaniem kartki pocztowej, na której umieszczono zdjęcie wylotu z tunelu, którym dokonano ucieczki oraz budynek kawiarni „Promenaden-Cafe, koło której go wydrążono. Pocztówka ta należy do jednej z najciekawszych i najcenniejszych, jakie kiedykolwiek wydrukowano na temat Świdnicy.

Ożywić pamięć

Miejsca związane z opisywanymi wydarzeniami częściowo zachowały się do dziś. Nie ma już budynku przy ulicy Spółdzielczej, mieszczącego obóz Lager II Schweidnitz, z którego uciekał kapitan William Crawshay Loder-Symonds. Obiekty, w których mieścił się obóz Lager I Schweidnitz przy obecnej ulicy Sprzymierzeńców, użytkowane są obecnie przez Schronisko i Zakład Poprawczy dla Nieletnich, chociaż w ciągu ostatnich kilku dekad rozebrane zostały drewniane baraki jenieckie i dawny kościół ewangelicki, jakie znajdowały się na terenie obozu. Jeszcze w latach 20. XX wieku, ze względu na zły stan techniczny, rozebrany został także budynek kawiarni „Promenaden Cafe". W jego miejscu powstał przed II wojną światową Ogród Różany. Dziś teren jest całkowicie zaniedbany. Zachował się natomiast pierwotny układ skarp oraz starych murów, okalających Schronisko i Zakład Poprawczy dla Nieletnich. Być może badania terenu w tym miejscu pozwoliłyby na dokładne zlokalizowanie miejsca, gdzie tunel został wydrążony. Obecnie park jest miejscem prowadzonej przez władze Świdnicy rewitalizacji, która będzie obejmować także miejsce z prawdopodobnym usytuowaniem tunelu. Wydaje się, że historia ucieczki Anglików ze Świdnicy godna jest upamiętnienia przynajmniej stosowną tablicą jako niezwykłe wydarzenie w dziejach miasta. Póki co można jedynie ubolewać, że historia ta znana jest bardziej daleko poza granicami Polski niż w samej Świdnicy...

Andrzej Dobkiewicz

Dziennikarz i publicysta, autor artykułów i opracowań dotyczących historii ziemi świdnickiej, autor i wydawca książek historycznych. Współpracuje z Fundacją „Idea".

Sobiesław Nowotny

Historyk i tłumacz, autor wielu artykułów, opracowań i książek z zakresu historii Dolnego Śląska. Współpracuje z Fundacją „Idea".

Pogrzeb z pełnymi honorami alianckiego oficera na cmentarzu garnizonowym. Zwraca uwagę obecność pruskich oficerów, którzy oddawali zmarłym honory.

Zachowana na cmentarzu parafialnym w Świdnicy tablica nagrobna proboszcza Paula Jende, podejrzewanego o pomoc w ucieczce angielskich oficerów.

Wnętrze obozowego baraku jeńców angielskich, pokazujące ich warunki życia.

Kawiarnia „Promenaden Cafe", która zasłaniała wylot tunelu. Za nią, na kilkunastometrowym wzniesieniu, znajdował się mur, okalający teren obozu jenieckiego. Na zdjęciu współczesnym stan obecny tego miejsca.

Pod tym kamiennym murem jeńcy angielscy wykonali 8-metrowy podkop.

Wydana przez Niemców pocztówka z widokiem kawiarni oraz wylotem tunelu, którym uciekli Anglicy.

fot. http://www.bbc.co.uk, Andrzej Dobkiewicz, google/archiv, zbiory autora

Hier ruht in Gott
der Stadtpfarrer von Schweidnitz,
Erzpriester

Paul Jende,

geb. am 31. Juli 1859,
gest. am 16. Oktober 1918.

Mein Jesus Barmherzigkeit!
R. i. p.

Gruss aus Schweidnitz
Promenaden-Café
Inh. Emil Bischoff

POLOWANIE NA WILHELMA KOPPEGO

CZĘŚĆ 1

LESZEK ADAMCZEWSKI

Gdyby zamach na Hansa Franka się udał, towarzyszą mu obergruppenführer SS Wilhelm Koppe (drugi z pra wej) kilkanaście godzin po a cji AK nie stałby pod trybun podczas krakowskich obcho dów 11. rocznicy dojścia Hi tlera do władzy w Niemcze lecz leżał w kostnicy.

Dwóch najważniejszych urzędników Generalnego Gubernatorstwa na celowniku polskiego podziemia. Czy zamachy na nich miały szanse powodzenia?

Sprzyjało mu niesamowite szczęście. Dwukrotnie śmierć zaglądała mu w oczy i dwukrotnie odpuściła, pozostawiając go wśród żywych. Obergruppenführer SS i generał Waffen SS Wilhelm Koppe, bo o nim to mowa, od listopada 1943 roku był wyższym dowódcą SS i policji do spraw obszarów wschodnich, czyli Generalnego Gubernatorstwa, jednocześnie zasiadając w rządzie GG jako sekretarz stanu (minister) do spraw bezpieczeństwa. Tym samym był prawą ręką generalnego gubernatora doktora Hansa Franka, podlegając także Heinrichowi Himmlerowi, reichsführerowi SS i szefowi policji niemieckiej, który w interesującym nas okresie był równocześnie ministrem spraw wewnętrznych Rzeszy.

Do okupowanej Polski Wilhelm Koppe przyjechał z Dresden (Drezna), gdzie kierował podległymi SS saksońskimi instytucjami policyjnymi, w tym gestapo. I tu pozostał praktycznie do końca wojny, uciekł z Krakowa w styczniu 1945 roku. W 1943 roku, gdy pojawił się w stolicy Generalnego Gubernatorstwa, miał 47 lat i był typowym mordercą zza biurka. Osobiście Koppe prawdopodobnie nikogo nie zabił, w gronie współpracowników planując natomiast zbrodnie przeciwko ludzkości. Wniósł „ogromny wkład" zwłaszcza w dzieło uruchomienia, jeszcze przed konferencją w Wannsee, pierwszego na świecie ośrodka masowej zagłady Żydów w Kulmhofie (Chełmnie nad Nerem) na terenie Kraju Warty, gdzie przez niemal równo cztery lata był wyższym dowódcą SS i policji. Arthur Greiser, namiestnik Rzeszy w Kraju Warty, wielokrotnie chwalił Koppego i cenił współpracę z nim. Po raz ostatni obaj towarzysze partyjni pojawili się w Posen u boku Heinricha Himmlera 24 października 1943 roku podczas obchodów Dnia Wolności.

Doktor Hans Frank w swojej salonce kolejowej na kadrze z kroniki Wiadomości Filmowe w GG.

Przybycie gubernatora Hansa Franka na dworzec w Przemyślu. Widoczne liczne samochody osobowe. Władze lokalne witają gubernatora – tak Frank podróżował po Generalnym Gubernatorstwie.

Miesiąc później Koppe był już w Krakowie, gdzie podjął niełatwą współpracę z Frankiem. Wszystko wskazuje, że układała się ona znacznie lepiej niż jego poprzednika Friedricha Wilhelma Krügera.

Catherine Epstein, autorka „Wzorcowego nazisty", twierdzi jednak, że „w pierwszej połowie 1940 roku Greiser i Koppe toczyli walkę o władzę, w której zwycięsko wyszedł gauleiter", czyli Greiser. I po tym, jak Koppe pogodził się z podporządkowaniem swojego stanowiska namiestnikowi Rzeszy w Kraju Warty, obaj dygnitarze hitlerowscy „współpracowali ze sobą bez rzucających się w oczy starć". Po przyjeździe do Krakowa Koppe prawdopodobnie nie powtórzył walki z Frankiem, wiedząc że dużo bardziej agresywniejszy Krüger przez tyle lat jej nie wygrał...

Niecelny rzut

To obergruppenführer SS Krüger odpowiadał za najcięższe zbrodnie w Generalnym Gubernatorstwie. Sprawnie zorganizował zagładę Żydów w GG i likwidację getta warszawskiego, w ramach akcji AB wymordował – rękami esesmanów – kwiat polskiej inteligencji, kierował krwawą pacyfikacją Zamojszczyzny, nie wspominając już o codziennym terrorze. I właśnie Krügera konspiratorzy z sekcji krakowskiej specjalnego oddziału „Kosa – 30" Kierownictwa Dywersji (Kedywu) Komendy Głównej Armii Krajowej postanowili wiosną 1943 roku zgładzić w zamachu. Na śmierć zasłużył on po stokroć. „Długo można by wyliczać zbrodnie Friedricha Krügera. Każda z nich zasłużyła na najwyższą karę" – pisał w konkluzji swego raportu w tej sprawie szef wywiadu „Kosy – 30" Aleksander Kunicki, pseudonim „Rayski". >>>

fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

>>> „Biuletyn Informacyjny" Armii Krajowej w wydaniu z 6 maja 1943 roku pod tytułem „Zgładzenie Krügera" zamieścił komunikat Kierownictwa Walki Konspiracyjnej z 29 kwietnia 1943 roku z informacją o zabiciu kata GG 20 kwietnia o godzinie 9:50. „Dwie bomby rzucone rankiem 20 kwietnia w samochód przejeżdżającego ulicami Krakowa dygnitarza niemieckiego mają doniosłe znaczenie polityczne. Bomby te bowiem odebrały życie głównemu organizatorowi niemieckiej polityki terroru w Polsce. Zgładzony został nie jeden z wykonawców – lecz jeden z twórców tego straszliwego ucisku, w jakim od kilku lat żyje Kraj. [...] Karząca dłoń Polski Podziemnej ugodziła tym razem w centrum wrogiej nam woli. Jak silnie odczuły to władze niemieckie – najlepiej dowodzi fakt zatajenia zamachu na Krügera. Ciężko ranny dygnitarz hitlerowski zmarł w parę dni do [chyba od – przyp. autora] zamachu – tymczasem do dnia dzisiejszego prasa niemiecka milczy!" – czytamy w akowskim „Biuletynie Informacyjnym".

Zamach zaplanowano przeprowadzić w rejonie wylotu ulicy Wygoda w aleję Zygmunta Krasińskiego, a więc niedaleko Wawelu. Pięcioosobowa grupa akowców zauważyła czarnego mercedesa obergruppenführera o godzinie 9:49 we wtorek, 20 kwietnia, czyli w 54. rocznicę urodzin Adolfa Hitlera. Chwilę później podchorążowie Tadeusz Battek „Góral" i Andrzej Jankowski „Jędrek" rzucili w kierunku samochodu kata GG granaty zwane filipinkami. Nie trafili. Granaty wybuchły tuż za samochodem, którego kierowca w ostatniej chwili intuicyjnie przyspieszył. Z okolicznych domów Niemcy zaczęli strzelać do zamachowców, więc ci błyskawicznie się wycofali, nie sprawdzając, co stało się z Krügerem. Jego uszkodzony wybuchem granatów mercedes z rejestracją Ost-31 zatrzymał się przy krawężniku ulicy. Z uszkodzonego baku wyciekała benzyna...

Wbrew temu, co napisał „Biuletyn Informacyjny", Friedrich Krüger przeżył zamach. W raporcie, który jeszcze tego samego dnia wysłał do kwatery Himmlera, informował, że nie odniósł obrażeń. Przez pewien czas nie pokazywał się jednak publicznie, stąd też niektórzy historycy przypuszczają, że mógł zostać ranny. W każdym razie po kilku tygodniach Krüger wrócił do „pracy", ale jego los był już przesądzony. Himmler postanowił zastąpić go bardziej elastycznym Koppem, co zakomunikował mu na trybunie, gdy wspólnie z Greiserem w październiku 1943 roku odbierali przed poznańskim zamkiem defiladę z okazji obchodzonego w Kraju Warty Dnia Wolności.

Nigdy się już nie dowiemy, czy przeprowadzka z Poznania do Krakowa była dla Koppego awansem. Być może cieszył go fakt, że został członkiem rządu Generalnego Gubernatorstwa odpowiedzialnym za bezpieczeństwo, ale ani tego rządu nikt w Rzeszy nie traktował poważnie, ani nie było żadnej nadziei na przywrócenie w GG porządku i bezpieczeństwa. Nie, Koppe na pewno wolałby zostać w bezpiecznym Posen. Tu, w Krakau, musiał się strzec na każdym kroku, otaczając się licznymi ochroniarzami.

Wysocy urzędnicy Generalnego Gubernatorstwa podczas inspekcji na terenach roponośnych w okolicach Jasła. Od lewej: Hans Frank, Otto von Wachter, Friedrich Krüger.

Hans Frank we Lwowie – wita się z generałem armii słowackiej Ferdinandem Catlosem. Pierwszy z lewej Friedrich Krüger.

Przygotowania do zamachu na Hansa Franka

Podległe obergruppenführerowi SS Wilhelmowi Koppemu służby nie wykryły zamachu, który Armia Krajowa przygotowywała od jakiegoś czasu. Na celowniku Polski Podziemnej znalazł się jednak nie on, a sam generalny gubernator. Doktor Hans Frank od dawna znajdował się na szczycie

MIEJSCA ZAMACHÓW NA FRIEDRICHA KRÜGERA I HANSA FRANKA

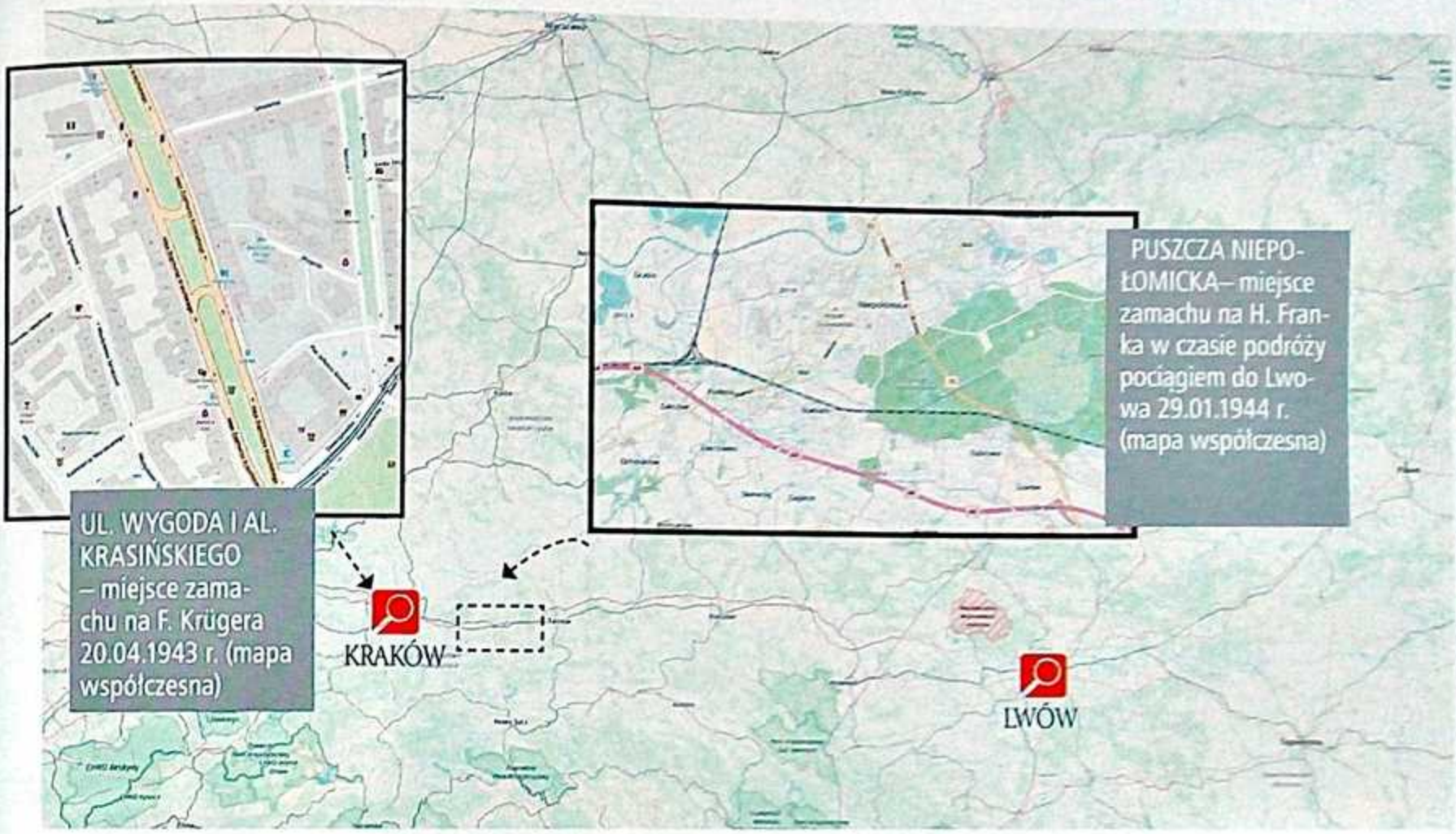

listu potencjalnych celów zamachu AK, ale ze względu na spodziewany krwawy odwet na ludności polskiej, dotychczas zostawiano go w spokoju. W końcu miarka się przebrała. Bezwzględny terror okupanta i zbliżanie się Armii Czerwonej do granic GG ośmieliło dowództwo Okręgu Krakowskiego AK do działania.

Mniej więcej w połowie stycznia 1944 roku komendant tego okręgu, pułkownik „Luty", pod którym to pseudonimem ukrywał się cichociemny Józef Spychalski, otrzymał z Lwowa informację, że na 11. rocznicę dojścia do władzy w Niemczech Adolfa Hitlera i 4. rocznicę zakończenia procesu tworzenia Generalnego Gubernatorstwa do stolicy najmłodszego dystryktu GG Galicja na rocznicowe uroczystości pojedzie pociągiem Hans Frank. Nie da się dzisiaj stwierdzić, czy do akowców dotarła informacja, że w podróży generalnemu gubernatorowi towarzyszyć będzie Wilhelm Koppe. Od współpracujących z AK kolejarzy uzyskano informację, że specjalne wagony salonowe zamierza się doczepić do pociągu urlopowego (SF-Zug), który z dworca Kraków Główny/Krakau Hauptbahnhof odjedzie do Lwowa 29 stycznia o godzinie 22:45.

Minęło kilka dni. Około 20 stycznia pułkownik „Luty" polecił porucznikowi „Powolnemu" (Ryszardowi Nuszkiewiczowi) przygotowanie planu wysadzenia w powietrze pociągu, którym jechać będzie gubernator generalny, a także zorganizowanie w tym miejscu zasadzki ogniowej. W pierwszej kolejności „Powolny" wytypował miejsce akcji – Puszczę Niepołomicką na odcinku między stacjami Podłęże i Grodkowice (obecnie Szarów), a następnie we współpracy z pułkownikiem „Jaremą" (doktorem Stefanem Tarnawskim), szefem krakowskiego Kedywu, omówiono szczegóły akcji. Gdy „Luty" na jej dowódcę wyznaczył majora „Wąsacza" (Stanisława Więckowskiego), oficera łącznikowego Sztabu Okręgu AK w Krakowie >>>

Hans Frank i Friedrich Krüger.

fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

www.odkrywca.pl

AK 75. Brawurowe akcje Armii Krajowej. Wojciech Konigsberg.
75 spektakularnych akcji AK na 75. rocznicę jej powstania. Siali postrach wśród hitlerowców. Nie dawali o sobie zapomnieć. Wymierzali sprawiedliwość za zbrodnie popełniane na polskim narodzie. Przeprowadzali zamachy na okupantów. Likwidowali konfidentów i agentów gestapo. Odbijali więźniów z rąk oprawców...

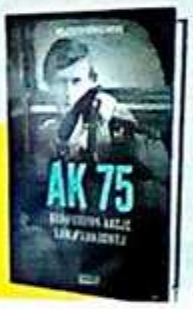

Zamów na
www.odk.pl
tel. 42 631 10 97
42 630 71 41
Księgarnia Odkrywcy

>>> przy Kedywie, także i on włączył się do prac przygotowawczych. Czasu nie było wiele. W tak krótkim, bo kilkudniowym terminie, nie udało się zdobyć silnego materiału wybuchowego, przede wszystkim tak zwanego plastiku, którego z konieczności zastąpił wykradziony z kopalni soli w Wieliczce sproszkowany trotyl. Na czas nie dotarły też trzy ręczne karabiny maszynowe oraz sto granatów, które potrzebne były do zorganizowania skutecznej zasadzki ogniowej.

Gdy do „Lutego" dotarła informacja, że „Wąsacza" położyła do łóżka silna grypa, przeprowadzenie akcji na jadący do Lwowa SF-Zug stanęło pod wielkim znakiem zapytania. Taka okazja może się szybko nie powtórzyć – przekonywali komendanta Okręgu AK jego najbliżsi współpracownicy. I pułkownik zdecydował. Obowiązki „Wąsacza" przejmie porucznik „Powolny" i akcja się odbędzie.

Na wyznaczonym odcinku linii kolejowej Kraków – Tarnów zaminowano oba tory, bo chociaż na liniach Kolei Wschodnich (Ostbahn) obowiązywał ruch lewostronny, pociąg urlopowy mógł wyjątkowo zostać skierowany na prawy tor.

Kadr z hitlerowskiej kroniki filmowej „Die Deutsche Wochenschau" z reportażem z obchodów Dnia Wolności w Posen. Na trybunie obok zamku poznańskiego stoi obergruppenführer SS Wilhelm Koppe (pierwszy z lewej). Defiladę odbiera reichsführer SS Heinrich Himmler.

Był późny sobotni wieczór 29 stycznia 1944 roku. Przed dworzec Krakau Hauptbahnhof podjechały limuzyny. Z jednej z nich wysiadł Hans Frank w towarzystwie swego adiutanta sturmbannführera SS Helmutha Pfaffenrotha, a z drugiej obegruppenführer SS Wilhelm Koppe. Obu nazistowskim dygnitarzom towarzyszyli urzędnicy z władz GG oraz kilku oficerów Wehrmachtu i SS. Frank ze swym adiutantem i trzema oficerami wsiedli do salonki numer 1006, a Koppe z kilkoma innymi osobami do salonki 1001. Oprócz tych dwóch wagonów, do pociągu urlopowego doczepiono też trzeci wagon z 25 uzbrojonymi funkcjonariuszami policji kolejowej.

Zegary dworcowe pokazywały godzinę 22:40. Po chwili podniesione zostało ramię semafora, a czerwone

Przywódczyni Kobiecej Służby Pracy Rzeszy wita Josepha Goebbelsa przed gmachem Teatru Wielkiego w Posen. Widoczni są również: szef Okręgowego Urzędu Propagandy Kraju Warty Wilhelm Maul (z lewej) i obergruppenführer SS Wilhelm Koppe (z prawej).

Ostdeutscher Beobachter — Sonntag, den 14. November 1943

ϟϟ-Obergruppenführer Koppe scheidet von Posen

Seine Arbeit und seine Leistungen waren mitentscheidend für den Aufbau des Warthelandes

Der Höhere ϟϟ- und Polizeiführer, ϟϟ-Obergruppenführer General der Polizei Wilhelm Koppe, verläßt in diesen Tagen Posen, um auf Befehl des Reichsführers ϟϟ eine größere Aufgabe im Osten zu übernehmen. ϟϟ-Obergruppenführer Koppe hat sich am Freitag beim Gauleiter abgemeldet. Gleichzeitig hat sich sein Nachfolger, ϟϟ-Obergruppenführer Berkelmann, beim Gauleiter und Reichsstatthalter zum Dienstantritt gemeldet.

Am Freitagabend hatte der Gauleiter die Mitarbeiter des scheidenden Obergruppenführers und die führenden Persönlichkeiten aus Staat, Partei und Wehrmacht geladen und in diesem Kreise dem Obergruppenführer Koppe in einer überaus herzlich gehaltenen Ansprache seinen Dank für die im Reichsgau Wartheland geleistete Arbeit ausgesprochen. Der Gauleiter erinnerte daran, daß er bereits vor 10 Jahren, nämlich in der ehemaligen Freien Stadt Danzig, mit Obergruppenführer Koppe als dem damaligen Führer der allgemeinen ϟϟ in Danzig zusammengearbeitet habe. Als sie sich damals trennten, sei bei beiden das Gefühl haften geblieben, daß zwischen ihnen über die dienstliche Zusammenarbeit hinaus ein festes Band der Kameradschaft entstanden sei. Und diese Kameradschaft habe sich in den vier Jahren, in denen ϟϟ-Obergruppenführer Koppe im Reichsgau Wartheland gewirkt hat, in hervorragender Weise bewährt.

An der Aufbauarbeit im Reichsgau Wartheland habe, so führte der Gauleiter weiter aus, Obergruppenführer Koppe entscheidenden Anteil. Er habe nicht nur die allgemeine ϟϟ im Reichs- [illegible]

Aufn.: Privat

Volksgenossen, sondern auch des ganzen Reiches und des Führers erworben.

Der Gauleiter würdigte dann in kamerad- [illegible]

[illegible] Als der Reichsführer ϟϟ ihn am 30. September 1939 nach Posen entsandt habe, [illegible]

Der neue ϟϟ- und Polizeiführer, ϟϟ-Obergruppenführer Berkelmann, [illegible]

Mit dem Obergruppenführer Wilhelm Koppe verläßt einer der engsten Mitarbeiter und Kameraden des Gauleiters unseren Gau [illegible]

Na pożegnanie z Posen redakcja dziennika „Ostdeutscher Beobachter" poświęciła Wilhelmowi Koppe okolicznościowy artykuł, zamieszczony 14 listopada 1943 roku.

fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

światło zmieniło się na zielone. W kłębach pary i dymu pociąg ruszył ku swemu przeznaczeniu.

Ucieczka w mrok nocy

Prawie 22 kilometry od dworca Kraków Główny na SF-Zug czekali już akowcy. Około 22:20 minął ich jadący od strony Bochni parowóz, który pchał przed sobą wagon-lorę z piaskiem. Tak Niemcy kontrolowali trasę przed przejazdem ważnego pociągu. O dziwo, lokomotywa jechała prawym, a więc nieprzepisowym na Ostbahn torem, co mogło oznaczać tylko jedno. Oczekiwany przez nich pociąg z Frankiem od strony Krakowa pojedzie po właściwym, czyli lewym torze.

Około godziny 23:10 błysk latarki jednego z akowców oznaczał, że zbliża się oczekiwany pociąg. Sześć, może siedem minut później nocną ciszę przerwał huk eksplozji. Dieter Schenk w biografii Hansa Franka napisał, że nastąpiła ona o ułamek sekundy za późno, a będący na miejscu zamachu „Powolny", czyli Ryszard Nuszkiewicz w wydanych w 1967 roku wspomnieniach „Zamach na pociąg Hansa Franka 29 I 1944", że o ułamek sekundy za wcześnie: „Obserwując wybuch stwierdzam – z jednej strony nieco wczesne odpalenie, z drugiej strony – podziwiam orientację i refleks wytrawnego maszynisty, który z miejsca hamuje lokomotywę, zmniejszając wydatnie następstwa kraksy. Pociąg wyrzucony z szyn podskakuje po torowisku rwąc podkłady kolejowe >>>

>>> i w zwalniającym biegu zatrzymuje się zgięty w harmonijkę na pobliskim wiadukcie".

Gdy pociąg się zatrzymał, ochrona gubernatora i prawdopodobnie też część z jadących nim żołnierzy frontowych otworzyli ogień w stronę pobliskiego lasu. Jednocześnie wystrzelono rakiety oświetlające. W tym czasie akowcy wycofywali się już z miejsca akcji. Tak ucieczkę zapamiętał Ryszard Nuszkiewicz i po latach opisał w swoich wspomnieniach: „Wśród ogólnej ciszy jakby zamarłego pociągu podrywamy się do odskoku. Gdy przebiegamy drogę pod wiaduktem na stronę południową linii kolejowej, skrzywiony i zaszokowany przestrachem pociąg odzywa się gęstą kanonadą karabinów maszynowych swej ochrony i dobrze uzbrojonych pasażerów. Błysk licznych rakiet świetlnych i strzelanina godna niejednej bitwy – łamie sen puszczy. Sceneria ta towarzyszy nam przez długie kilometry odskoku". Dodam jeszcze gwoli wyjaśnienia, że odskokiem akowcy nazywali ewakuację z miejsca akcji.

I tę ewakuację jednej z trzech grup, tej właśnie, w której był „Powolny", opóźniał major „Wąsacz". Mimo niewyleczonej do końca grypy, przybył on na miejsce akcji. Mocno osłabionego majora, który w pewnym momencie nie był w stanie dalej iść, prowadzili pod ręce porucznik „Powolny" i podporucznik „Spokojny" (Henryk Januszkiewicz). Po kilku kilometrach takiego marszu znaleźli oni schronienie w chłopskiej chałupie pod Wieliczką, gdzie „Wąsacz" odzyskiwał siły...

Mimo zaangażowania sporych sił i środków, akcja w Puszczy Niepołomickiej okazała się nieudaną. Nikomu z pasażerów SF-Zugu nic się nie stało, jeśli nie liczyć jakichś drobnych siniaków i zadrapań. Z zamachu cało wyszli i Hans Frank, i Wilhelm Koppe, z których pierwszy nazajutrz do Lwowa poleciał samolotem Ju 52.

CDN

Cichy front. Aleksander Kunicki.
Wspomnienia szefa komórki wywiadu w oddziale „Osa" - „Kosa-30" KG Kedywu AK i kompanii „Agat" (późniejszy Parasol) – Aleksandra Kunickiego ps. Rayski. Odpowiadał on za rozpracowanie i przygotowanie zamachów na szczególnie szkodliwych funkcjonariuszy policji i administracji niemieckiej m.in. na Kutscherę, Koppego, Weffelsa oraz Krugera.

Zamów na
www.odk.pl
tel. 42 631 10 97
42 630 71 41
Księgarnia Odkrywcy

Krakowski Dworzec Główny – (zdjęcie z 1940 roku), przed który późnym wieczorem 29 stycznia 1944 roku zajechały limuzyny z Hansem Frankiem i Wilhelmem Koppem oraz towarzyszącymi im oficerami i urzędnikami administracji GG.

Odrestaurowany budynek dawnego dworca kolejowego Kraków Główny, zdjęcie współczesne.

Leszek Adamczewski
Poznański dziennikarz i pisarz. Autor ponad 20 książek, poświęconych tajemniczym zdarzeniom z czasów II wojny światowej. W miniornym roku ukazały się dwie jego książki: „Prusy w ogniu. Między Królewcem a Toruniem" oraz „Tajemnicza broń Hitlera. Na tropie tajnych badań III Rzeszy". Wiosną tego roku do księgarń trafiła kolejna książka Adamczewskiego „Na podbój świata. Śląskie sensacje wojenne".

fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe, L. Adamczewski

DUŃCZYCY, WĘGRZY I INNI W TWIERDZY

EDWARD HAŁAJKO

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Więcej czasopism o historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

Plan z oblężenia miasta w 1741 r.

Jedna z największych twierdz Europy, potem obóz jeniecki, w którym przebywał m.in. przyszły prezydent Francji, jest miejscem pochówków żołnierzy wielu narodowości.

Nysa jest jednym z najstarszych miast na Śląsku. Po raz pierwszy została wzmiankowana w 1223 roku, lokowano wówczas Nowe Miasto. Prawdopodobnie już w X wieku istniało Stare Miasto, które podlegało położonej nieopodal kasztelani w Otmuchowie. Książę śląski Bolesław I Wysoki ofiarował wspominaną kasztelanię swemu synowi Jarosławowi, który u schyłku życia w latach 1198–1201 był biskupem wrocławskim. Przekazał w testamencie swoim następcom na stolicy biskupiej Nysę i kilkanaście wsi. Z czasem na tej bazie utworzono biskupie księstwo otmuchowsko-nyskie, które sukcesywnie powiększało się. Po wojnach husyckich (1428) i przeniesieniu kolegiaty z Otmuchowa (1457), Nysy stała się głównym miastem i siedzibą księcia-biskupa. Dogodne położenie na przecięciu szlaków handlowych z Pragi, Krakowa, Wiednia i Wrocławia sprzyjało rozwojowi gospodarczemu miasta. Wojna

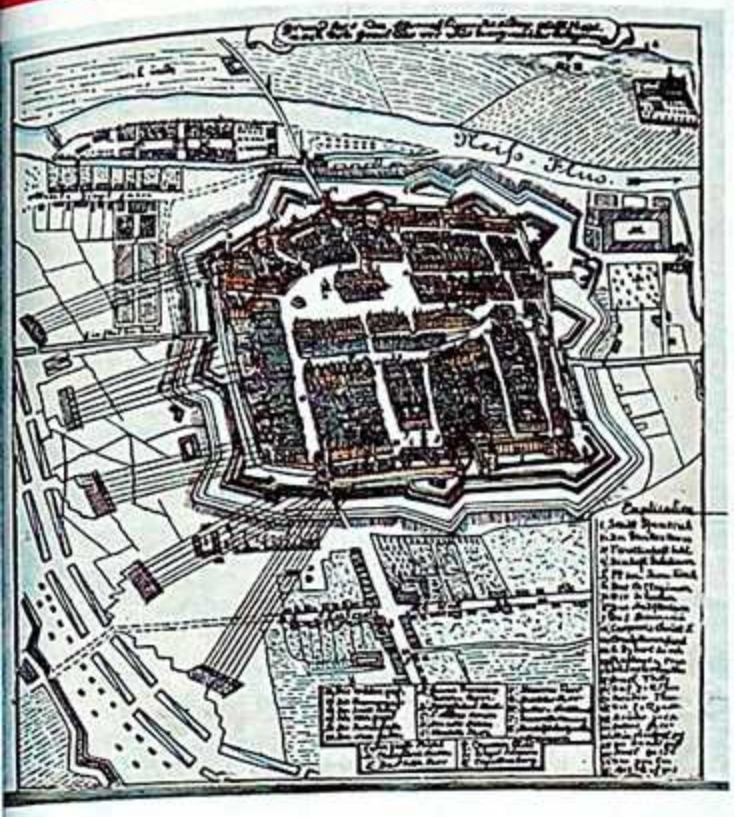

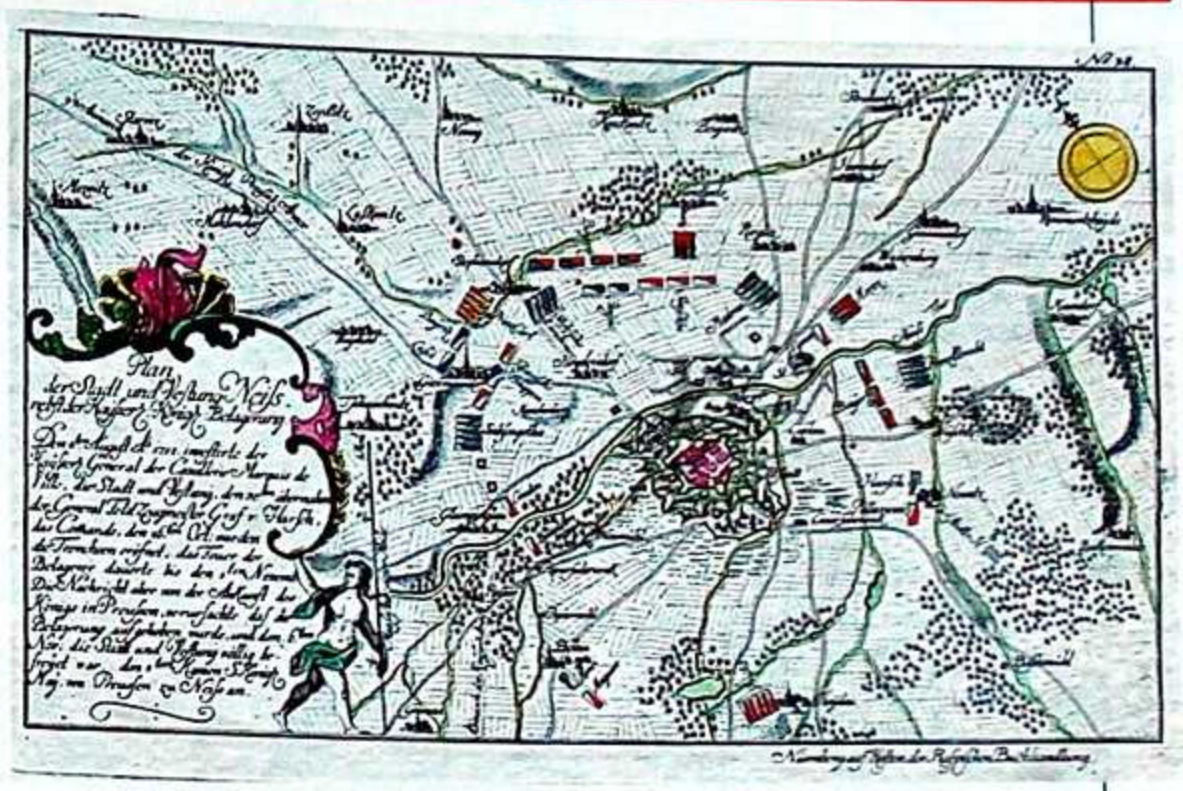

trzydziestoletnia (1618–1648) doprowadziła do zapaści gospodarczej Śląska, w tym Nysy. W wyniku wojen śląskich (1740–1763) pomiędzy Austrią a Prusami od roku 1741 Nysa weszła w skład królestwa pruskiego, co zakończyło władzę biskupów wrocławskich, którzy ostatecznie stracili wszelkie wpływy i majątek w wyniku sekularyzacji w 1810 roku. W tym czasie w Nysie prowadzona była budowa jednej z najpotężniejszych twierdz na południu Prus. Za sprawą licznego garnizonu jeszcze na początku XX wieku Nysa była największym miastem ówczesnej Rejencji Opolskiej.

Twierdza Nysa

Król pruski Fryderyk II, doceniając strategiczne położenie miasta oraz istniejące już fortyfikacje, postanowił uczynić z Nysy twierdzę. Na jego zlecenie w latach 40 XVIII wieku holenderski inżynier Generał Cornelius von Walrawe podjął się przebudowy fortyfikacji południowych. Równocześnie na północnym brzegu rzeki zbudowano Fortyfikacje Górne. Powstało w ten sposób całkowicie podporządkowane funkcji militarnej nowe miasto Friedrichstadt. Po obu brzegach rzeki zostały wzniesione dwie reduty: Kardynalska i Kapucyńska, a na północnym wzniesieniu samodzielna cytadela Fort Prusy wraz z pasami obwałowań. Zastosowane rozwiązania architektoniczne i techniczne fortyfikacji o kilkadziesiąt lat wyprzedzały swoje czasy. Istniała nawet możliwość zatopienia miasta w razie zajęcia go przez wroga. Modernizacja fortyfikacji była prowadzona do XIX wieku. Twierdza strzegła granic nowo zdobytej prowincji śląskiej na wschodnim odcinku gór sudeckich i była uważana za jedną z najsilniejszych i najnowocześniejszych w ówczesnej Europie. Opinię tę potwierdza fakt, że wojska napoleońskie w 1807 roku aż 114 dni oblegały Nysę nieustannie ją ostrzeliwując. O sile rażenia świadczy fakt, że w mieście ocalało tylko pięć domów. Dopiero brak odsieczy z zaopatrzeniem zmusił obrońców Nysy do kapitulacji. Pamiątką tego oblężenia są żeliwne kule wmurowane w kilka budynków.

Oblężenie Nysy w 1741 r. przez wojska pruskie.

Plan z oblężenia miasta w 1758 roku.

Szkoła wojenna w Nysie.

W czasach konfliktów zbrojnych twierdza pełniła także funkcję więzienną. W 1794 roku przetrzymywany był tu oficer i polityk rewolucji francuskiej, jeden z twórców Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela, markiz de La Fayette. W roku 1846 przetrzymywani byli polscy powstańcy krakowscy. W latach 1864 jeńcy duńscy, a następnie w 1866 roku jeńcy, w tym ranni z armii austro-węgierskiej z konfliktu prusko-austriackiego. >>>

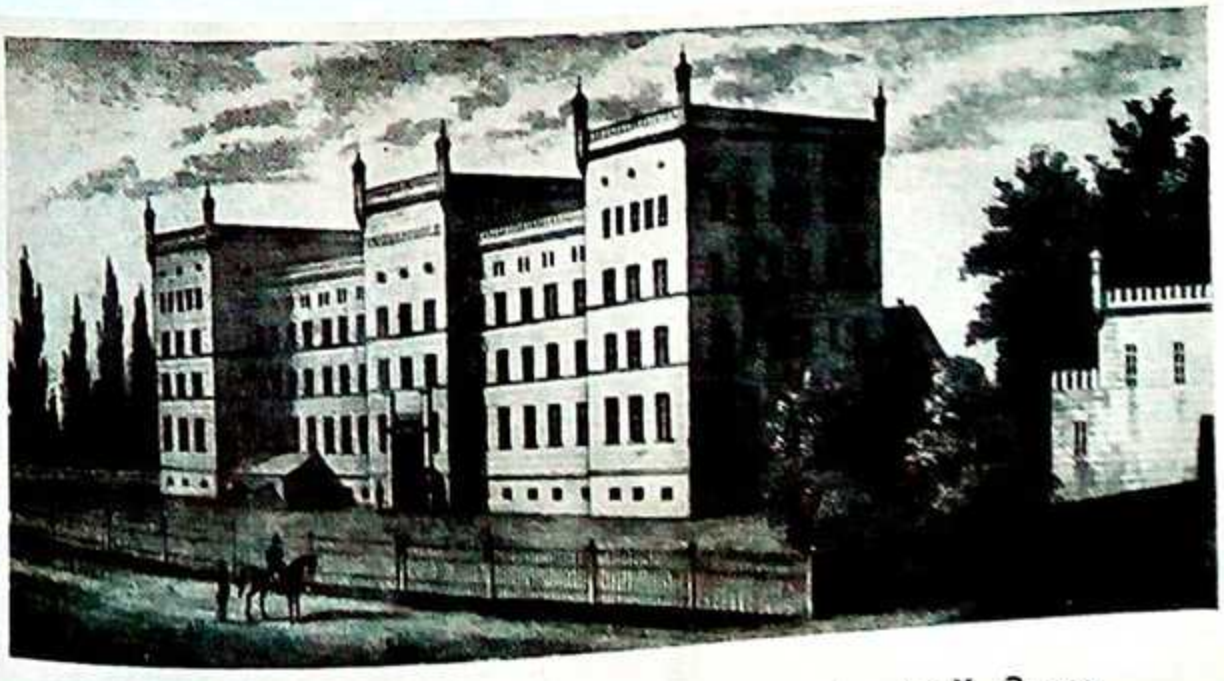

Die Kriegsſchule zu Neiſſe als Hauptquartier der II. Armee.

graf. Archiwum Muzeum Powiatowego w Nysie

>>> W latach 1871–1872 w czasie wojny prusko-francuskiej przetrzymywani byli oficerowie francuscy. Zmieniające się z upływem czasu techniki wojenne oraz zastosowanie w XIX wieku dział z gwintowanymi lufami spowodowały utratę militarnego znaczenia fortyfikacji. Po 1871 roku zaczęła się stopniowa likwidacja umocnień. W 1903 roku Nysa oficjalnie przestała być twierdzą. Obiekty forteczne pełniły funkcje pomocnicze silnego garnizonu. W czasie I wojny światowej został zorganizowany obóz jeniecki dla ponad tysiąca oficerów pochodzących w większości z armii rosyjskiej, a w 1916 roku obok innych oficerów państw Ententy więziony był tu Charles de Gaulle, późniejszy prezydent Francji. Natomiast w nieistniejącym już Forcie Ziemnym na obecnym placu Paderewskiego osadzono uczestników II powstania śląskiego (1922). W czasie II wojny światowej znajdowały się tu niewielkie podobozy, w których przetrzymywano jeńców różnych narodowości. W marcu 1945 roku, po krótkich, ale intensywnych walkach, wojska Armii Czerwonej zdobyły miasto. Do 1992 roku część obiektów fortecznych była wykorzystywana na potrzeby jednostek Wojska Polskiego.

Cmentarze

Świadectwem, także wojennej historii miasta, są cmentarze, z których zachowały się w stanie szczątkowym: „cmentarz garnizonowy" i kompleks trzech cmentarzy wyznaniowych na alejach Wojska Polskiego. Nie przetrwały do dzisiejszych czasów dwa cmentarze: stary cmentarz garnizonowy, który został wchłonięty przez cmentarz jerozolimski, i zlikwidowany cmentarz żołnierzy francuskich. Na nyskich cmentarzach do 1945 roku zgodnie ze źródłami można udokumentować pochówki ośmiu pruskich i niemieckich generałów, a także wielu pruskich i niemieckich oficerów i żołnierzy. Chowani byli także jeńcy wojenni kolejnych konfliktów: Duńczycy (1864), żołnierze Austro-Węgierscy (1866), Francuzi (1870–1871), Rosjanie (1914–1918).

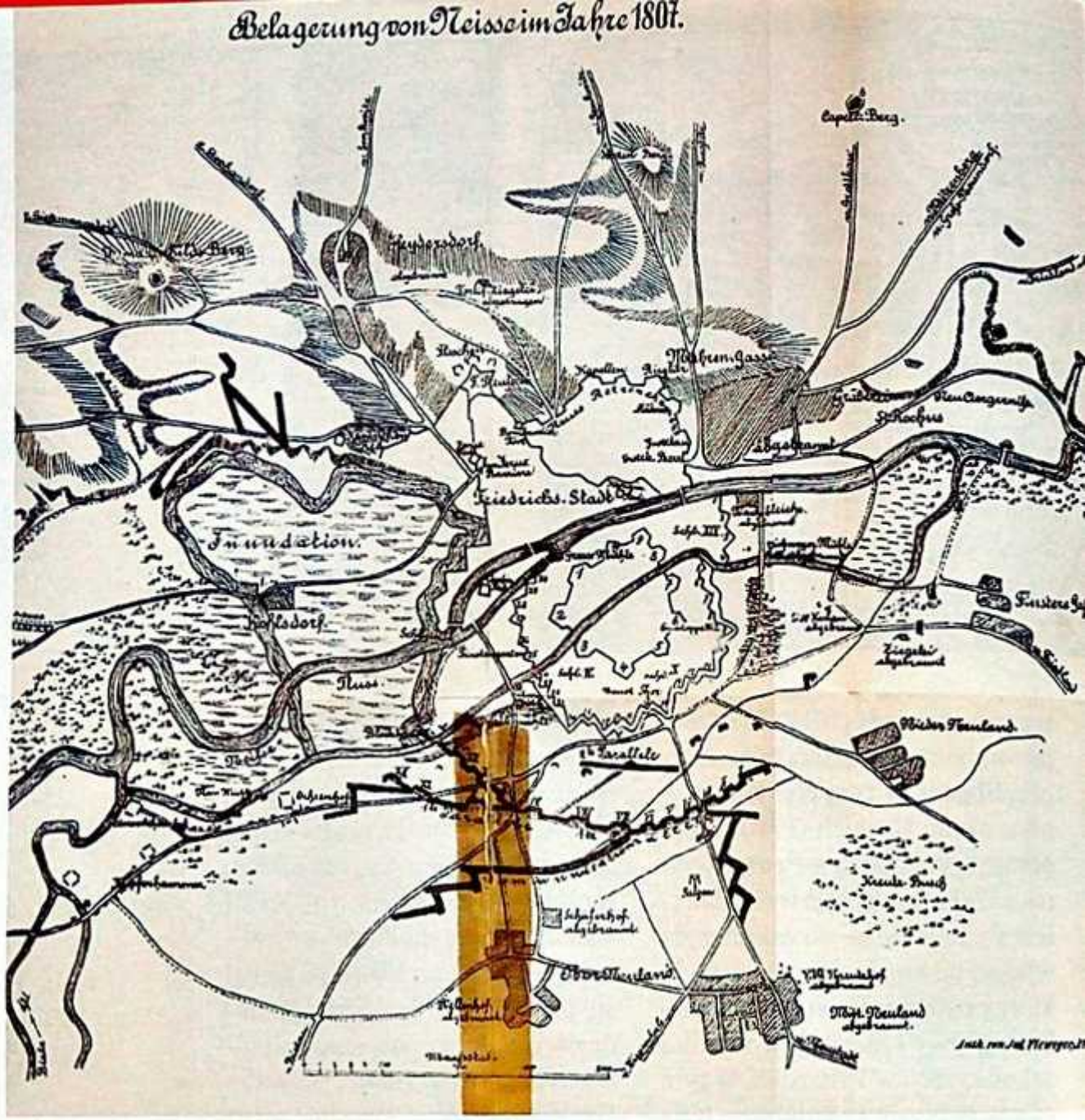

Mapa Nysy i okolic w czasie oblężenia przez wojska napoleońskie w 1807 roku.

Po zrealizowaniu w poł. XVII wieku budowy potężnej twierdzy, która według planu króla pruskiego Fryderyka II Wielkiego miała chronić granice Śląska od południa, w następnych latach Nysa stała się jednym z ważniejszych miast w systemie obronnym, co wiązało się z utworzeniem licznego garnizonu i przybyciem wielu oficerów i ich rodzin z różnych części Królestwa Pruskiego. Nowy statut miasta zmienił także dotychczasowy porządek i charakter społeczny – w tym wyznaniowy. Dotychczas większość mieszkańców była wyznania katolickiego, a od czasu zajęcia przez Prusy zaczęli napływać żołnierze i oficerowie wyznania protestanckiego. Ponieważ wszystkie funkcjonujące wówczas w Nysie cmentarze były wyznaniowe – w tym wypadku katolickie, zaszła potrzeba utworzenia miejsca pochówku zmarłych innych wyznań. Takie miejsce dla protestanckich żołnierzy, oficerów i ich rodzin wyznaczono po za obrębem cmentarza jerozolimskiego na północny zachód od kościoła św. Krzyża, nieopodal obecnie nieistniejącej „Bramy Jerozolimskiej". Usytuowany tam cmentarz wojskowy, w późniejszych źródłach nazywany „stary cmentarz garnizonowy" (niem. alte Garnisonsfriedhof, lub alter Militär-Begrabnis-Platz), został zamknięty w 1834 roku. Nazwa „stary" była stosowana dla odróżnienia od utworzonego w 1835 roku przy obecnej ul. Krasickiego „cmentarza garnizonowego", który stał się pierwszym w Nysie cmentarzem komunalnym, bez podziału na wyznanie i narodowość, a który zasługuje na osobny artykuł.

Obecnie na podstawie opisów, ikonografii i relacji z lat 80.

fot. Archiwum Muzeum Powiatowego w Nysie

XX wieku wiemy, gdzie znajdował się ów stary cmentarz, a także jak wyglądał. Co więcej, na podstawie niektórych niemieckojęzycznych źródeł możemy udokumentować kilka interesujących pochówków. Najstarszy pochodzi z 1807 roku z czasów oblężenia Nysy przez wojska napoleońskie. Został wówczas wzięty do niewoli kapitan wojsk oblegających twierdzę o nazwisku von Brüssele. Mimo dobrej opieki ze strony obrońców zmarł po trzech dniach od odniesionych ran i został pochowany z zachowaniem ceremoniału wojskowego i z udziałem gubernatora Nysy. Nieopodal spoczął inny uczestnik tych wydarzeń – Generallieutenant Heinrich von der Lahr (1734–1816). Był uczestnikiem „Pierwszej koalicji antyfrancuskiej" i został uhonorowany orderem „Pour le Mérite" (Za Zasługę), a następnie orderem „die Grossen roter Adlerorden" (Wielkim Orderem Czerwonego Orła). W 1807 roku był dowódcą korpusu inżynieryjnego w czasie oblężenia Nysy. Na starym cmentarzu zostało pochowanych pięcioro członków rodziny von Diezelsky. Był to stary pomorski ród o wielu gałęziach wywodzący się z okolic Kostrzyna, w 1569 roku wzmiankowano Dziędzielskich herbu Dzięcioł. Z czasem duża część rodu zaczyna używać nazwisko Diezelsky, a większość mężczyzn z pokolenia na pokolenie służyła w armii pruskiej, co sprawiło, że zostali rozproszeni po wszystkich zakątkach królestwa.

Znane są także pochówki po dacie zamknięcia cmentarza. W 1864 roku w wyniku wojny duńsko-pruskiej (II wojna o Szlezwik) kilkuset jeńców duńskich przebywało w Nysie w fortyfikacjach. Byli kierowani do różnych prac na terenie miasta, m.in. przy budowie alei biegnącej wzdłuż dawnej fosy fortecznej. Na starym cmentarzu zostało pochowanych trzech zmarłych od chorób jeńców. Byli to wzięci do niewoli pod Dybbøl (niem. Düppeler Schanzen) w Szlezwiku:

Wojna prusko-austriacka 1866, wzgórze Steinberg, z którego obserwowano ruch wojsk.

1. Peder Larsen Overgaard, szeregowy 1. Kompanii 7. Pułku Piechoty. Urodzony 26.01.1838 roku w Marstal. Ranny i schwytany 17 marca 1864 roku, do twierdzy Nysa trafił 2 kwietnia i zmarł na tyfus 5 kwietnia, pochowany 8. tego miesiąca.

2. Hemming Christian Pedersen, szeregowy 3. Kompanii 18. Pułku Piechoty. Urodzony 6.03.1840 roku w Stege. Schwytany 17 marca 1864 roku, do twierdzy Nysa trafił 1 kwietnia i zmarł na tyfus 16 kwietnia, pochowany 19. tego miesiąca.

3. Rasmus Markvardsen, szeregowy 8. Kompanii 18. Pułku Piechoty. Urodzony 24.05.1840 roku w Soesmarke. Schwytany 17 marca 1864 roku, do twierdzy Nysa trafił 10 czerwca i zmarł na tyfus 15 czerwca, pochowany 18 tego miesiąca.

W roku 1886 Duński Departament Wojny zamówił i wzniósł trzy marmurowe płyty, które następnie odnowiono w okresie międzywojennym, a w 1942 roku rząd duński opłacił ostatnią konserwację grobów, niestety po 1945 roku nagrobki zostały zniszczone. W 2001 roku, >>>

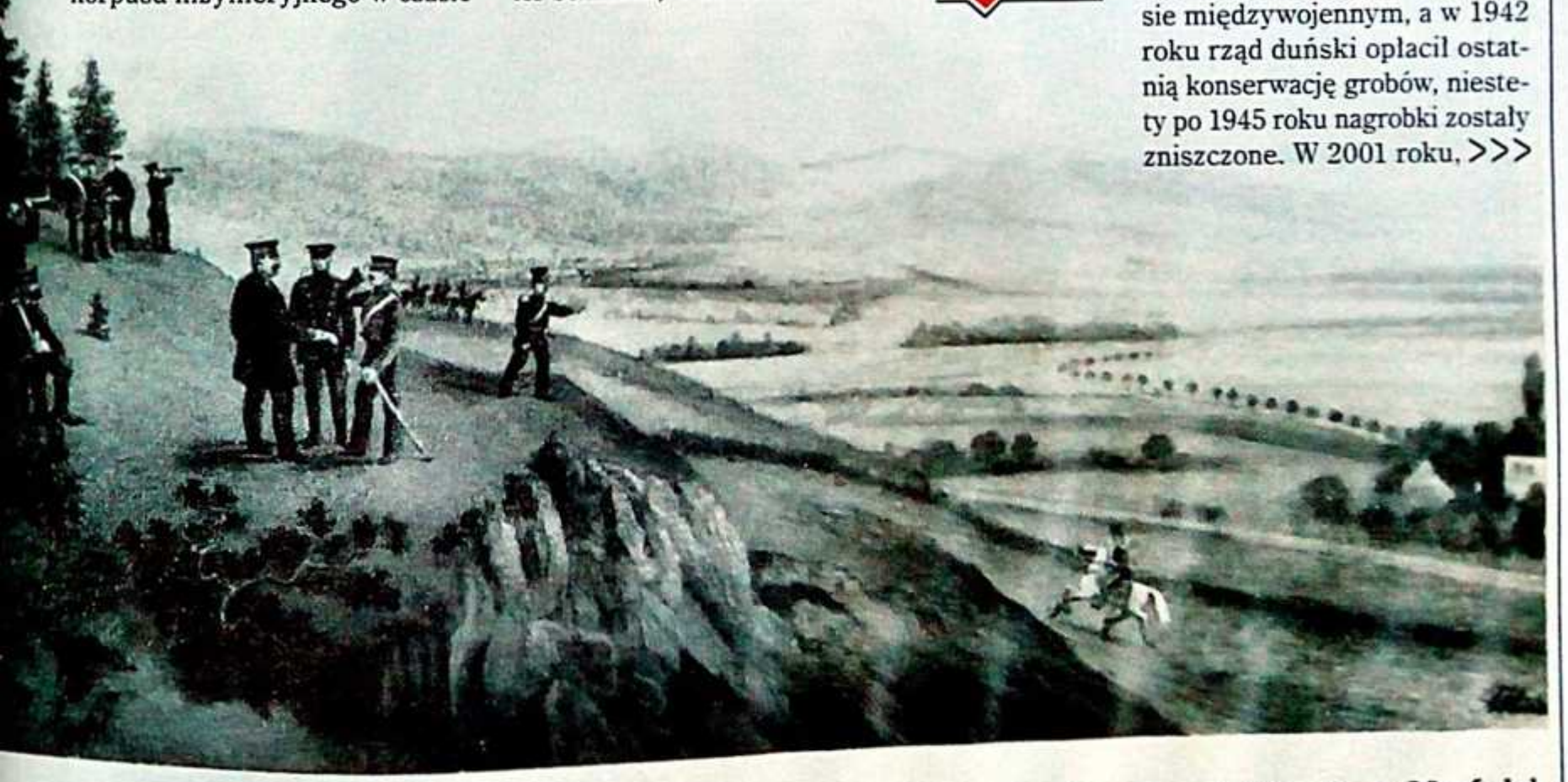

Auf dem Steinberg bei Neiſſe. Prinz Biron von Curland erhält den Befehl, dem nächſten k. k. öſterreichiſchen Truppen-Kommando die Meldung zu bringen, daß ſich Preußen mit Öſterreich als im Kriegszuſtande befindlich betrachte. (Neiſſer Altertumsmuſeum).

>>> w miejscu gdzie pracowali jeńcy, przywrócono dawną nazwę aleja Duńczyków (Däner Allee) i umieszczono granitowy obelisk z dwujęzycznym napisem.

Wojna prusko-austriacka 1866

W roku 1866 w dniach od 16 czerwca do 23 sierpnia miał miejsce konflikt zbrojny określany jako wojna prusko-austriacka, w historiografii niemieckojęzycznej nazwany Deutscher Krieg – Wojna Niemiecka, co znacznie lepiej odzwierciedla charakter tego wydarzenia. Głównymi uczestnikami były po jednej stronie Królestwo Prus wspierane przez Królestwo Włoch i kilka państw członkowskich Związku Niemieckiego, po przeciwnej stronie Cesarstwo Austriackie wspierane przez Saksonię, Królestwo Hanoweru, Królestwo Bawarii oraz kilka innych państw członkowskich Związku Niemieckiego. Tłem była rywalizacja o przewodnictwo w utworzonym w 1815 roku Związku Niemieckim (niem. Deutscher Bund). Był to też konflikt interesów pomiędzy wspieranymi przez arystokrację Habsburgami, a popieranymi przez burżuazję Hohenzollernami o unifikację Niemiec i przekształcenie związku w federację.

W obliczu niebezpieczeństwa spowodowanego koncentracją wojsk austriackich pod Ołomuńcem Nysa jako największa twierdza pruska znajdująca się w pobliżu południowej granicy, przygotowywała się do obrony. Po ogłoszeniu mobilizacji stała się miejscem koncentracji II Armii Pruskiej. W twierdzy skoszarowano przeszło 11 tys. żołnierzy, z czego ok. 9,5 tys. to piechota, pozostali to kawaleria, artyleria i saperzy. W mieście wprowadzono pewne ograniczenia dla ludności cywilnej. Od godz. 23 do 5 rano obowiązywała godzina policyjna, wprowadzono także reglamentację przy zakupie żywności. W „Szkole Wojennej" została ulokowana główna kwatera sztabu II Armii, której dowództwo od 25 maja objął następca tronu książe Fryderyk Wilhelm (generał piechoty, Gubernator Wojskowy Prowincji Śląskiej i późniejszy cesarz Fryderyk III).

W maju 1866 roku sytuacja była bardzo napięta, monitowano stale

1866 rok, sztab księcia Fryderyka Wilhelma, głównodowodzącego II armią.

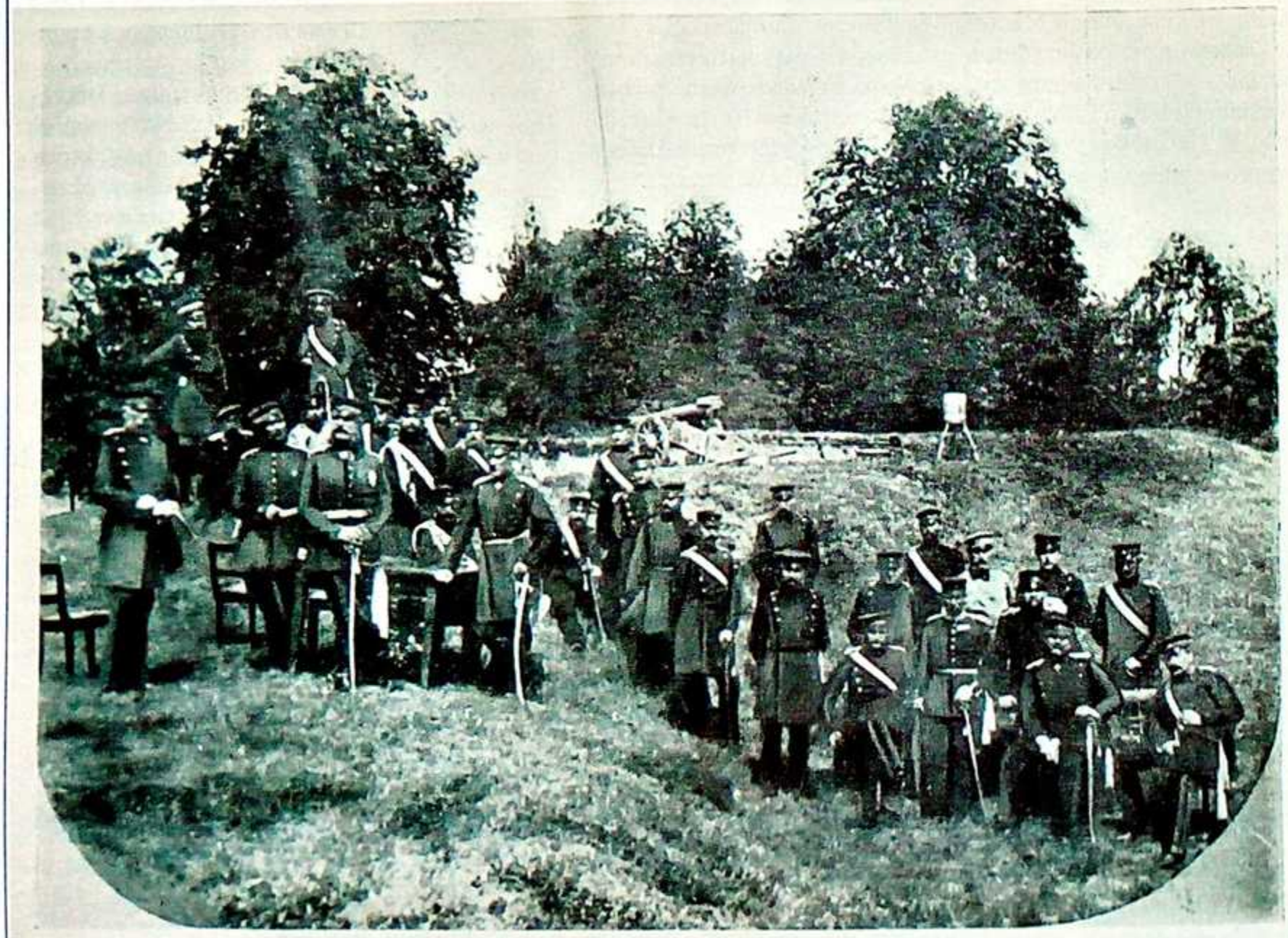

Kronprinz Friedrich Wilhelm, der Führer der 2. Armee, mit seinem Stabe am Hohen Retranchement. (Neisser Altertumsmuseum.)

Cmentarz garnizonowy, pomnik poświęcony poległym pruskim i austriackim żołnierzom w 1866 roku.

granicę południową. Nieopodal Nysy na wzniesieniu Kamienna Góra (niem. Steinberg) znajdował się punkt obserwacyjny, z którego na bieżąco przesyłano meldunki o ruchach wojsk przeciwnika. Wojska II Armii zostały skierowane na południe, by dołączyć do pozostałych sił pruskich. Do decydującej bitwy tej wojny doszło 3 lipca pod Sadową (Sadova) w pobliżu miasta Hradec Králové (Königgrätz) ok. 150 km na południe od Nysy. Wojska austriackie wspierane przez Sasów, pod dowództwem generała Ludwiga von Benedeka, zostały rozbite przez Prusaków, którymi dowodził generał Helmuth von Moltke.

Duża część poległych w bitwie po obu stronach żołnierzy była narodowości polskiej (z jednej strony pułki poznańskie, a po przeciwnej galicyjskie). W czasie bitwy wielu żołnierzy austro-węgierskich zdezerterowało lub dostało się do niewoli. Do Nysy trafiło wielu jeńców armii cesarskiej jak i wielu rannych armii pruskiej. Pamiątką tych wydarzeń jest wystawiony w 1909 roku na cmentarzu garnizonowym pomnik upamiętniający zmarłych obydwóch stron konfliktu.

Legion Węgierski w Nysie w 1866 roku

Interesującym epizodem wojny 1866 roku jest utworzenie w Nysie „Legionu Węgierskiego". Było to możliwe dzięki staraniom i konsolidacji węgierskich patriotów, którzy po powstaniu 1848 roku znaleźli się na emigracji i byli skupieni w Paryżu wokół Lajosa Koszuta. Z ich inicjatywy i po rozmowach rządów Francji i Niemiec, zaistniała możliwość utworzenia węgierskiej formacji wojskowej. Organizacją legionu zajął się kanclerz Bismarck i Węgierski Komitet Narodowy, który w fazie tworzenia reprezentowany był przez Georga Komaromy i Theodora Csaky. Organizację wojskową powierzono pułkownikowi baronowi (freiher) von Uechtritz, a ze strony węgierskiej generałom Gorgy Klapka i Anton Vetter (następcy w dowodzeniu północną armią węgierską po Henryku Dębińskim w 1849). Ostatecznie to generał Klapka za zgodą kanclerza Bismarcka stanął na czele „Legionu Węgierskiego" (niem. „Koniglich Preussische Parteigangerkorps"; pol. Pruski Królewski [partyzancki] Korpus Wsparcia). Rząd pruski na sformowanie Legionu przeznaczył kwotę 250 000 talarów, przewidywano utworzenie jednostki, w skład której miało wejść 3 tys. żołnierzy.

W tym czasie ustalono, że schwytane austriackie pułki, w których większość stanowili Węgrzy, zostaną skierowane do Nysy. Po bitwie pod Sadową pojawiły się różne informacje na temat jeńców węgierskich z armii austriackiej. M.in. meldowano, że 18 czerwca w Nysie znalazło się 4000 Węgrów, a 21 czerwca informowano o 7–8 tys. w twierdzach Nysa i Koźle, a także o innych w twierdzy Głogów. Prasa donosiła o przybyłych 17 czerwca do Nysy 1500 jeńców z pułków piechoty nr 2, nr 23 i nr 32. Inna informacja podaje, że 18 lipca 1866 roku przybyło do Nysy 1500 jeńców z Poznania, Wrocławia i Głogowa, a 20 lipca kolejnych 300 z Królewca i Gdańska.

Ostatecznie do Legionu wstąpiło około 2000 żołnierzy. Na czele Legionu stanęli: generałowie Georg Klapka (Klapka György), głównodowodzący armią, oraz Anton Vetter von Doggenfeld jako zastępca i Georg Graf Bethelen, dowódca kawalerii. Pułkownicy: Emil Baron Uechtritz – zastępca dowódcy kawalerii, Alexander Mednanszky – szef sztabu, Adolph Mogyorody – dowódca brygady, Georg Komaromy – prezydent rządu tymczasowego, Theodor Graf Csaky – zastępca prezydenta rządu tymczasowego i Alexander Graf Karacsay – sztabowiec, a także pułkownik Georg Scheiter jako dowódca husarii i inni oficerowie.

Po sformowaniu żołnierze zostali wyposażeni w niezbędną broń osobistą, utworzono baterię dział czterofuntowych >>>

Fragment „starego cmentarza garnizonowego", nagrobek jednego z trzech zmarłych żołnierzy duńskich (przed 1945 r.).

graf. Archiwum Muzeum Powiatowego w Nysie, fot. E. Hałajko, Forum Historii Nysy

>>> i oddział kawalerii – husarii. Każdy rodzaj jednostki otrzymał swój sztandar. Umundurowanie składało się z czerwonej czapki z czarnym daszkiem i czerwono-biało-zieloną kokardą (barwy Węgier), jasnoszarych spodni, ciemnoniebieskiej bluzy i szarego płaszcza. Legion przemieścił się następnie z kompletem wyposażenia do pobliskiego Prudnika i dalej specjalnym pociągiem przez Głubczyce i Racibórz przekroczył granicę i dotarł 27 czerwca 1866 roku do miejscowości Bohumin (Oderberg). W tym rejonie w kilku miejscowościach na pograniczu Górnego Śląska i Śląska Austriackiego Legion oczekiwał na dalsze dyspozycje. Niejednoznaczna postawa strony pruskiej zmusiła dowodzących do przeprowadzenia 31 lipca narady wojennej. Na początku sierpnia Legion skierował się na południe z zamiarem dotarcia na Węgry. Jednak z uwagi na ustanowioną linię demarkacyjną i nacisk Austrii, legion wycofano na Morawy, a następnie do Baborowa (Bauerwitz) na Śląsku. W trakcie całego konfliktu legion nie podjął większych działań militarnych, a po podpisaniu 23 sierpnia 1866 roku pokoju w Pradze został rozformowany. Część oficerów i żołnierzy pozostała na emigracji w Prusach i we Francji, część powróciła do ojczyzny.

Skutkiem wojny było rozwiązanie Związku Niemieckiego i wycofanie się Austrii z polityki niemieckiej. Pod egidą Prus utworzono Związek Północnoniemiecki, co przyczyniło się do zakończenia procesu zjednoczenia Niemiec pod przewodnictwem Prus w 1871 roku. W przypadku Nysy był to przedostatni akcent świetności Twierdzy, ostatnim był epizod związany z wojną prusko-francuską, po której Twierdza Nysa straciła na znaczeniu w konsekwencji czego przystąpiono do rozbiórek dużych fragmentów umocnień. Do czasów obecnych zachowało się około 60% dawnych fortyfikacji, rozlokowanych na obszarze ponad 230 hektarów.

Ufundowana w 2001 roku tablica upamiętniająca jeńców duńskich w Nysie.

Edward Hałajko
Zamieszkały w Nysie. Wykształcenie: magister historii (UWr.), licencjat z konserwacji zabytków (PWSZ Nysa). Zawód: historyk i konserwator zabytków architektury. Od września 2014 roku dyrektor Muzeum Powiatowego w Nysie (ul. Biskupa Jarosława 11, 48–300 Nysa, strona www.muzeum.nysa.pl), wcześniej prowadziłem firmę o profilu konserwacja zabytków. Autor publikacji o tematyce historycznej, a także społecznej i podróżniczej. Od 2015 roku redaktor rocznika „Nyskie Szkice Muzealne".

fot. E. Hałajko

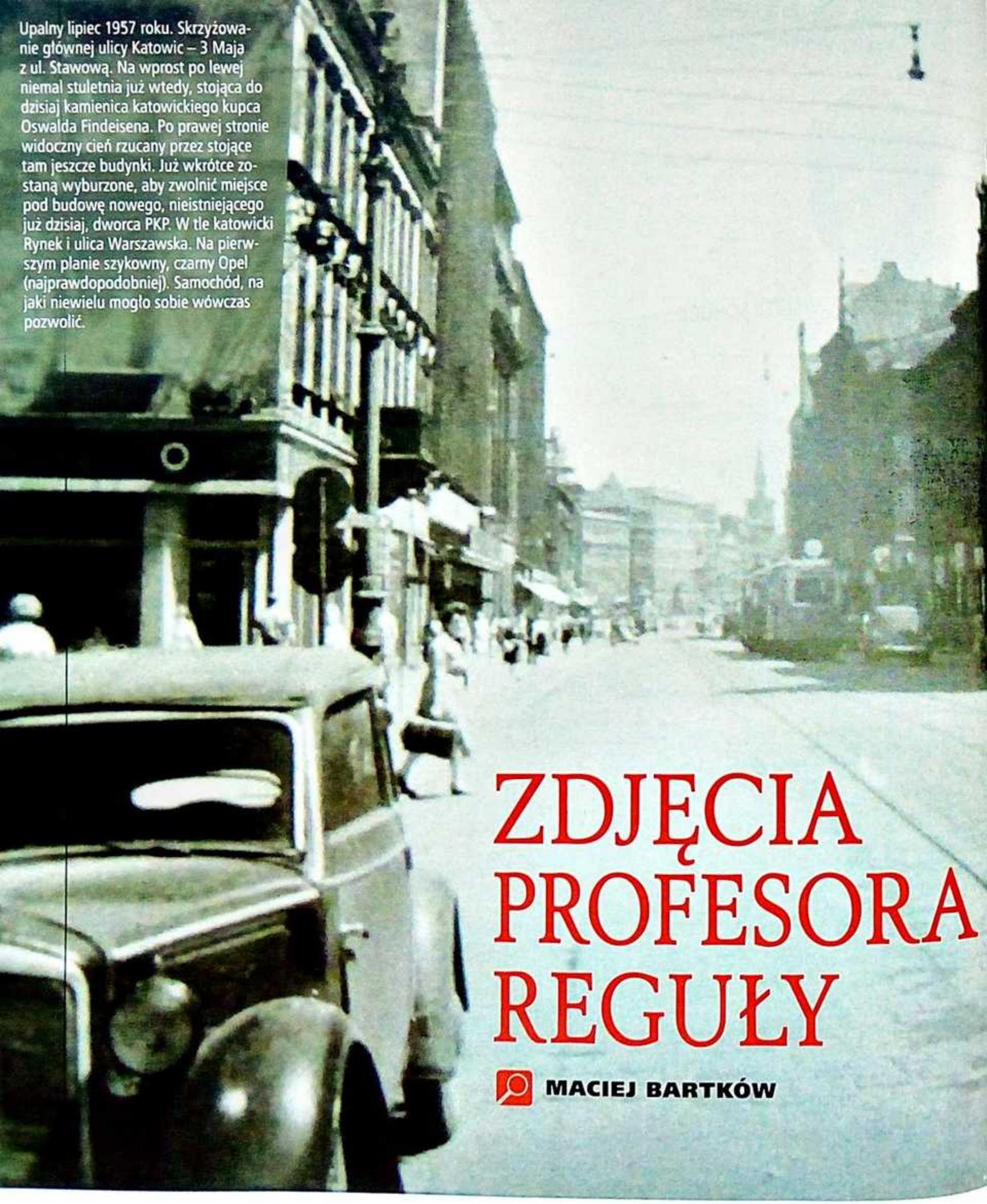

Upalny lipiec 1957 roku. Skrzyżowanie głównej ulicy Katowic – 3 Maja z ul. Stawową. Na wprost po lewej niemal stuletnia już wtedy, stojąca do dzisiaj kamienica katowickiego kupca Oswalda Findeisena. Po prawej stronie widoczny cień rzucany przez stojące tam jeszcze budynki. Już wkrótce zostaną wyburzone, aby zwolnić miejsce pod budowę nowego, nieistniejącego już dzisiaj, dworca PKP. W tle katowicki Rynek i ulica Warszawska. Na pierwszym planie szykowny, czarny Opel (najprawdopodobniej). Samochód, na jaki niewielu mogło sobie wówczas pozwolić.

ZDJĘCIA PROFESORA REGUŁY

MACIEJ BARTKÓW

fot. Archiwum IPN w Katowicach

Dzięki fotograficznej pasji profesora możemy dzisiaj zobaczyć uchwyconą w kadr sekundę z życia Śląska w 1957 roku, a także przyjrzeć się pracy ówczesnych esbeków.

Profesor Karol Reguła uwagę zaabsorbował swoją osobą funkcjonariuszy SB z prozaicznego powodu. Będąc turystą przybyłym do PRL z Niemiec, podróżował po śląskich miastach z aparatem fotograficznym.

Ta krótka historia rozpoczyna się w lipcu 1957 roku, kiedy to w odwiedziny do rodzinnych stron przybył urodzony 16 października 1914 roku w Świętochłowicach profesor Reguła. Jak zanotowali ubecy: „Wymieniony przybył na teren Polski z RFN, z miasta Hanower, jako turysta". Wycieczka, z którą do Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej przyjechał profesor, rozjechała się następnie w różnych kierunkach Śląska. Sam Reguła postanowił natomiast odwiedzić rodzinne Świętochłowice, z których następnie wyruszył w sentymentalną podróż po różnych miastach Górnego i Dolnego Śląska. W podróży tej towarzyszyli mu – oczywiście niejawnie – świętochłowiccy (ale nie tylko) esbecy, którzy wcześniej pozyskali informację, że profesor w czasie II wojny światowej zatrudniony był w Zarządzie Miejskim w Świętochłowicach. W związku z ruchliwością profesora, który w krótkim okresie czasu chciał odwiedzić jak najwięcej miejsc, do inwigilacji zaprzęgnięto także funkcjonariuszy SB z Katowic i Wrocławia. Jak raportowali esbecy ze Świętochłowic: >>>

Teatr Śląski imienia Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach i ulica Warszawska w samo południe. W roku 1957 dyrektorem artystycznym placówki był sam Gustaw Holoubek, a na deskach teatru, oprócz niego samego, mieszkańcy Katowic podziwiać mogli między innymi niezapomnianą Irenę Kwiatkowską czy Tadeusza Łomnickiego. Na ulicy, oprócz widocznej Warszawy, w tle po prawej najprawdopodobniej jedna z pierwszych, produkowanych od marca tamtego roku, kultowych dzisiaj syrenek.

Środkowa i wschodnia część Rynku we Wrocławiu. Na pierwszym planie tramwaj linii nr 3 do Leśnicy. W głębi wieże Katedry Świętej Marii Magdaleny, jednej z ostatnich ofiar Festung Breslau. Jej wieża południowa została rozerwana w wyniku eksplozji miny lub niewybuchu ponad tydzień po zakończeniu działań wojennych, w dniu 17 maja 1945 roku. Wieżę odbudowano w 1948 roku. Katedra początku swojej odbudowy doczeka się w roku 1960.

Świętochłowice, ulica Bytomska i kursujący na trasie Bytom-Świętochłowice-Katowice-Mysłowice tramwaj typu 4N linii nr 7. Rześkie powietrze po letnim deszczu przyniosło trochę ochłody. Na murze budynku dobrze widoczne „graffiti", pozostałe zapewne po styczniowych wyborach parlamentarnych. Zwycięstwo Frontu Jedności Narodu miało przynieść sportowcom wyłącznie dobre owoce. W tle najprawdopodobniej wieża parafii ewangelickiej w Świętochłowicach.

>>> „Na naszym terenie stwierdziliśmy, że często wychodzi zabierając ze sobą aparat fotograficzny. Widziano go również z paczkami, które niósł z domu w bliżej nieustalonym kierunku. (...) Należy nadmienić, iż profesor do dnia dzisiejszego włada płynnie językiem polskim, zna teren, wobec czego nie natrafia na żadne trudności w kontaktowaniu się z miejscową ludnością".

W kolejnym piśmie, tym razem skierowanym do Naczelnika Wydziału II Służby Bezpieczeństwa we Wrocławiu, świętochłowicka SB informuje:

„Za okres jego pobytu na tutejszym terenie nawiązał szereg kontaktów oraz odwiedzał wiele miejscowości w województwie katowickim. Przebywał w tym czasie w takich miejscowościach jak Kraków, Knurów, Gliwice, Chorzów, Katowice i wiele innych. Z naszych wstępnych ustaleń wynika, że celem jego faktycznego przyjazdu do Polski jest nawiązanie kontaktu z dawnymi znajomymi z okresu okupacji hitlerowskiej. Potwierdzeniem tego jest także fakt, że rzekomi rodzice, u których zamieszkiwał Regula Karol są dla niego drugimi >>>

fot. Archiwum IPN w Katowicach

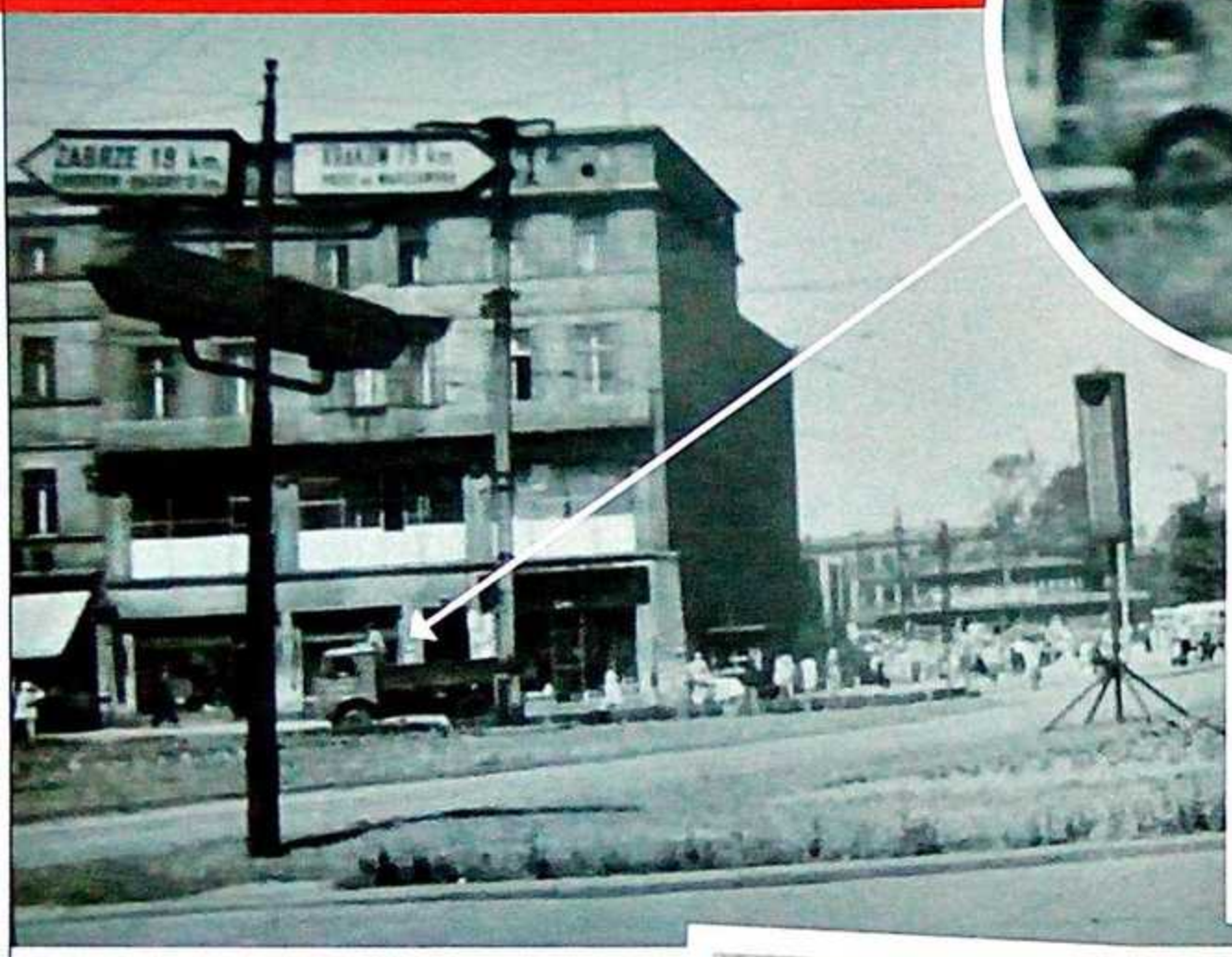

Do Zabrza w lewo, do Krakowa w prawo. Z centrum Katowic można było dojechać wszędzie. „Pasażer pieszy" w oczekiwaniu na „ogórka" widocznego w tle mógł posłuchać muzyki płynącej z ustawionego na środku ronda megafonu. W ten sam sposób umilać sobie podróż mogli także ci, którzy w upalne dni woleli podróżować nie w kabinie ciężarówki, ale na pace.

>>> rodzicami (ojczym i druga matka). Prof. Reguła miał ze sobą aparat fotograficzny, zachodzi podejrzenie, że mógł zrobić wiele zdjęć z naszego terenu. Na podstawie agenturalnych informacji wynika, że interesował się osobami, z którymi pracował lub znał w czasie wojny".

W związku z powyższym poproszono wrocławską SB o roztoczenie dyskretnej „opieki" nad wybierającym się do tego miasta profesorem. Tak też się stało, a efektem podjętych działań było między innymi, a może raczej przede wszystkim, przechwycenie filmów z aparatu, na których utrwalone zostały widoki zarejestrowane przez profesora. W całej akcji nie było niestety niczego sensacyjnego, dolnośląscy esbecy „wypożyczyli" po prostu filmy, z których w swoim laboratorium wykonali odbitki zdjęć; te następnie przekazali swoim kolegom ze Świętochłowic. Filmy zostały następnie zwrócone właścicielowi.

Niczego sensacyjnego nie było także na zdjęciach wywołanych w laboratorium dolnośląskiej SB. Jak się okazało profesor faktycznie odwiedził kilkanaście śląskich miast, w których wykonał kilkadziesiąt standardowych fotografii. Wśród nich znalazły się fotografie wykonane w Piekarach Śląskich, Katowicach czy Wrocławiu. Dzięki fotograficznej pasji profesora możemy dzisiaj zobaczyć uchwyconą w kadr sekundę z życia Śląska w 1957 roku.<

Maciej Bartków
Autor książek „Werwolf na Dolnym Śląsku" i „Strażnicy IV Rzeszy". Koordynator projektu „Tajemniczy Bytom".

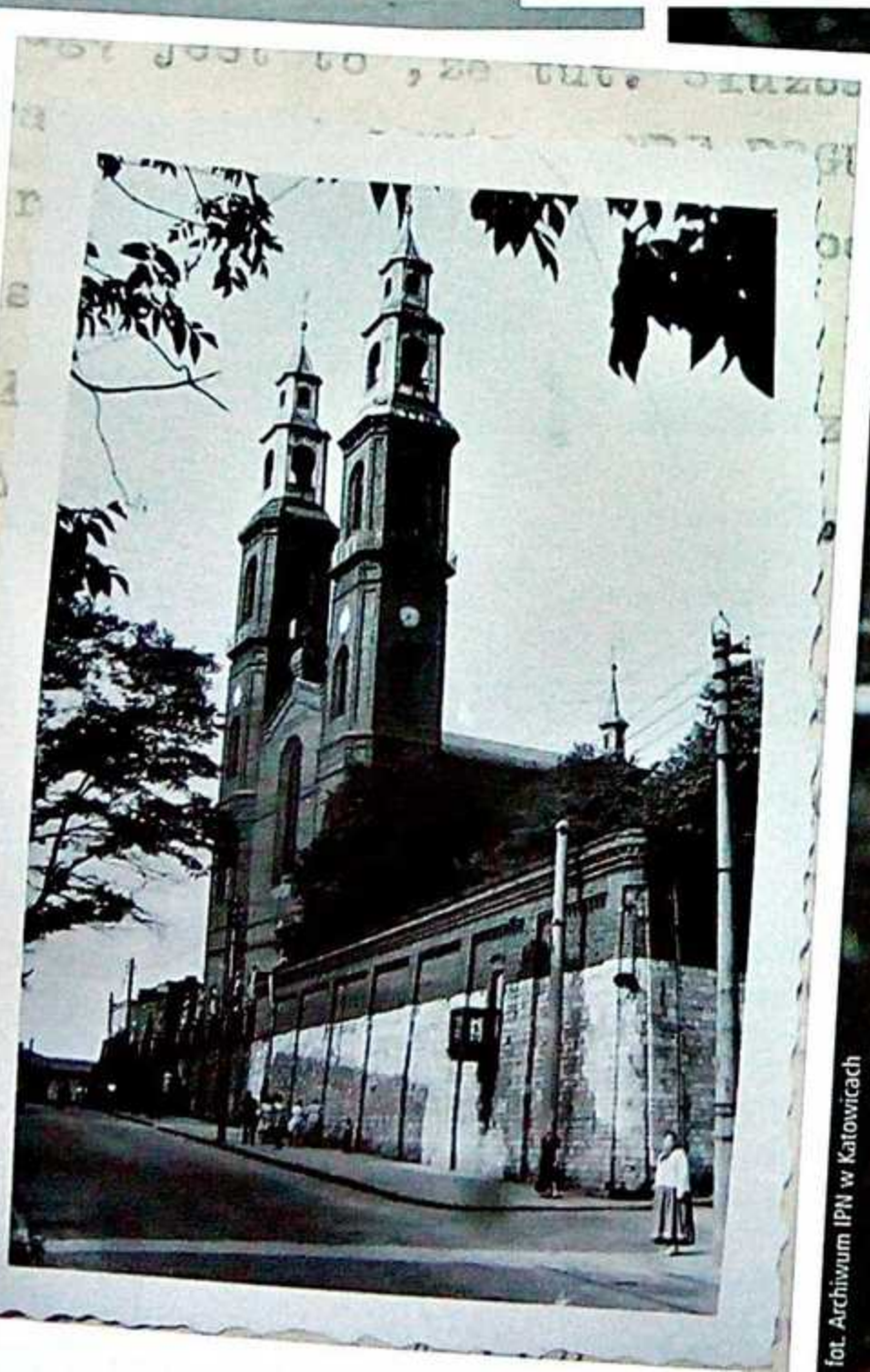

fot. Archiwum IPN w Katowicach

Ulubione miejsce, organizowanych w latach 80. XX wieku, manifestacji antykomunistycznych w Katowicach. Pomnik Wdzięczności Armii Radzieckiej stanął na Placu Wolności równo 10 lat przed wykonaniem tego zdjęcia. W roku 1947 odsłonięto go w miejscu, gdzie wcześniej, już 23 lutego 1945 roku, stanął obelisk poświęcony „wyzwolicielom z Armii Czerwonej". Z uwagi na podejmowane niemal od razu przez mieszkańców Katowic próby wysadzenia go w powietrze, władze miasta zadecydowały o postawieniu w jego miejscu okazałego, nowego pomnika, którego konstrukcja uniemożliwi podejmowanie takich prób w przyszłości. Pomnika faktycznie nie próbowano już wysadzać, za to kilka razy Solidarność Walcząca już w latach 80. obrzuciła go butelkami z benzyną. Górujący nad placem czerwonoarmiści zniknęli z cokołu 14 maja 2014 roku. Park, ławeczki i spacerujące panie – pod tym względem nic się nie zmieniło od lat 50.

OD SUCHARÓW DO CHLEBA POLARNEGO

TOMASZ BIENEK

Podczas II wojny światowej 80 procent amerykańskiego pieczywa stanowił chleb fabrycznie krojony, a ludność okupowanej Warszawy otrzymywała lepsze pieczywo niż okrutny okupant. Obok tradycyjnie pieczonego chleba na żołnierskich stołach gościły rozmaite odmiany sucharów i twardych herbatników.

Choć chleb z czasów okupacji nie należał do najsmaczniejszych, zdaniem starszych warszawiaków nie był gorszy od tego z lat I wojny światowej. Nad zakazami okupanta tryumfowała też polska pomysłowość – udawało się nawet obejść hitlerowski zakaz produkcji pieczywa białego.

„Wydawać się to może dziwne, było jednak faktem, że warszawiacy bez większego trudu mogli zaopatrzyć się w pieczywo pszenne, chociaż od 23 stycznia 1940 obowiązywał zakaz zarówno jego wypieku, jak i sprzedaży. Zarządzenie to pozostało oczywiście przez całe trzy lata całkowitą fikcją; białe pieczywo jest produkowane i sprzedawane niemal z ostentacyjną jawnością. Nabywają je na rynku nielegalnym sami Niemcy", czytamy w książce historyka Tomasza Szaroty.

Suchary

Kolejną, także owianą wieloma legendami, dowcipami i anegdotami wersją wojskowego pieczywa są suchary. W armii niemieckiej wydawano je głównie w Afryce Północnej, gdzie funkcjonowanie tradycyjnych

1 Pudełko holenderskich herbatników dostarczanych dla oddziałów brytyjskich stacjonujących na zachodzie Europy w okresie 1939-1940. O ich przeznaczeniu świadczy prowizoryczna naklejka z angielskim napisem.

2 Przedwojenna puszka herbatników firmy Julius Meinl.

3 Duże blaszane pudło sucharów marki Victoria produkcji belgijskiej. O militarnym przeznaczeniu tego produktu świadczy papierowa naklejka z napisem Biscuits Militaires.

fot. Tomasz Bienek, arch. autora, Narodowe Archiwum Cyfrowe

Adolf Hitler podczas posiłku żołnierskiego – ciemny chleb, talerz z zupą, termos. Wrzesień 1939 r.

piekarni polowych było mocno ograniczone ze względu na brak wody. Żołnierzom Afrika Korps wydawano często suchary włoskie, zdarzały się też suchary pochodzące ze zdobytych magazynów brytyjskich. Nie było to jednak regułą. W znakomitym albumie o wojskowym wyżywieniu „Rations of the German Wehrmacht in World War II", opublikowano pochodzące z Afryki Północnej zdjęcie ciężarówki należącej do kwatermistrzostwa hitlerowskiej marynarki. Wewnątrz skrzyni pojazdu wśród rozmaitych produktów widać też stertę bochenków świeżo wypieczonego komiśniaka. W niemieckich przydziałach żywności suchary powszechne były też na froncie wschodnim, o czym wspomina William Lubbeck, artylerzysta Wehrmachtu: „Generalnie nasze zaopatrzenie w żywność w Rosji pozostawało na stałym poziomie przez całą wojnę, gdy tylko przeminął kryzys pierwszej zimy. W czasie ciężkich walk lub w trakcie marszu kwatermistrzostwo naszej kompanii wydawało jedynie żywność konserwowaną – tuńczyka, sardynki, śledzia lub kiełbasę z puszkowanymi sucharami czy chlebem".

Suchary Wehrmachtu to nic innego jak zwieback, wchodzący w skład niemieckich racji żywnościowych także podczas I wojny światowej. W wojskach krajów niemieckich zwieback pojawił się w XVII wieku. W latach obu wojen światowych w Niemczech na rynek cywilny i wojskowy produkowało go wiele firm z branży piekarskiej. Duże ilości tego produktu były kupowane przez niemiecką armię. Często suchary te trafiały zarówno do koszar jak i na front w komercyjnych, nieraz krzykliwie kolorowych opakowaniach zbiorczych.

Suchary, jako rodzaj prostego pieczywa otrzymywanego z mąki, wody i soli, były produktem tanim, a długi okres przydatności do spożycia czynił je idealną propozycją dla wojska, ale także dla żeglarzy. Suchary zabierały ze sobą ekspedycje badawcze, udające się np. do Arktyki. Zapasy tego produktu mieli ze sobą odkrywcy wielu niezbadanych rejonów świata, sponsorowani często przez angielską admiralicję. Popularność sucharów w brytyjskiej marynarce w dawnych wiekach przełożyła się na produkcję tego pieczywa także dla wojsk lądowych Wspólnoty Brytyjskiej w czasach nowożytnych. >>>

4

Dökler

Kunsthonig Pulver

Schleckerli

ZUR HERSTELLUNG VON 1¾ KG KUNSTHONIG

Preis 15 Pfg.

6

India

Pfefferkuchen-Würze

(Ersatz)

Bestehend aus echtem und künstlichem Gewürz

Ausreichend für 1½ kg Mehl

Fällgewicht 30 Gramm – Preis 15 Rpf.

India

Pfefferkuchen-Würze

Ausreichend für 1½ kg Mehl

5

Knieling Zwieback

als

Frühstücks- und Kaffeegebäck

wohlschmeckend und bekömmlich.

Für Kinder und Säuglinge

als Zwiebackbrei besonders geeignet. Empfehlenswert ist es, dem Brei rohen Apfelsinen-, Zitronen- oder Mohrrübensaft zuzusetzen.

Um Knieling-Zwieback knusprig und frisch zu halten, empfiehlt es sich, ihn in gut schließender Blechdose aufzubewahren.

Niemals in offenem Beutel stehen lassen.

7

J. G. Kemm Nfg

Kuchen-Zwiebackfabrik. Hamburg

Kemm'sche Kuchen

HAMBURGER SPEZIALITÄT

8

>>> Biscuits

Podczas obu wojen światowych twarde herbatniki, określane mianem „biscuits", będące zachodnim odpowiednikiem naszych sucharów, stanowiły podstawowe pieczywo w oddziałach brytyjskich, kanadyjskich, australijskich, nowozelandzkich czy południowoafrykańskich. Oczywiście poznali je też żołnierze Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

Nazwa pochodzi z języka włoskiego od słowa biscotto, wziętego od łacińskiego „bis coctus", co oznaczało chleb pieczony dwukrotnie, bo właśnie dzięki takiej procedurze uzyskiwano twardość sucharów i pozbywano się z nich wilgoci, co pozwalało na bardzo długie składowanie. Od przygotowania typowego pieczywa wypiek sucharów różni się m.in. tym, że pocięte kromki, czyli właśnie przyszłe suchary, poddaje się ponownej obróbce termicznej. Z przepisów tych korzystali piekarze szykujący w starożytnym Rzymie suchary dla legionów.

Kwadratowe suchary produkowano przed wojną także dla Wojska Polskiego, a najstarszy znany wojskowy suchar, zachowany do dziś, eksponowany jest w Danii na terenie muzeum w zamku Kronborg. Jeśli wierzyć kustoszom wystawy w tej twierdzy pochodzi on... z 1852 roku.

Różnego typu suchary, także określane mianem „biscuitów", otrzymywali żołnierze francuscy, belgijscy, duńscy i holenderscy. Wszystkie te armie opracowały indywidualne prostokątne pojemniki, w których żołnierz mógł przechowywać swoją porcję tego produktu. Puszki te stanowiły zachodni odpowiednik pudełek o nerkowatym przekroju, mieszczących kilka kromek chleba, rozpowszechnionych w armii niemieckiej i polskiej, które prezentowaliśmy w poprzednim odcinku naszego cyklu. Duże ilości zachodnich pojemników na suchary zostały po 1940 roku przejęte przez armię niemiecką, która z kolei „rozwłóczyła" je po wszystkich zakątkach świata, do których dotarła. W Wehrmachcie do przenoszenia wydanych luzem sucharów wewnątrz plecaka czy chlebaka stosowano proste płócienne torby Zwiebackbeutel.

Wśród kilku rodzajów pieczywa, pojawiającego się w wojsku niemieckim, zwraca też uwagę tzw. hartkekse. Była to kolejna odmiana twardych herbatników. Dzięki kilkukrotnemu wypiekowi zachowywały one bardzo długi termin przydatności. Komfortową konsumpcję umożliwiało zamoczenie herbatnika w herbacie czy mleku.

Pojemnik wafli marki Friesenmädel.

Z niemiecką tradycją wojskową hartkeks związał się na tyle, że w skład racji polowych Bundeswehry nadal wchodzą suchary tego typu o oficjalnej nazwie Panzerplatten – co najlepiej świadczy o ich twardości. Z kolei podczas zimnej wojny w armii NRD niemal identyczne pieczywo nazywane było potocznie mianem „Atomkekse".

Pieczywo chrupkie

Wśród dostarczanych na front wypieków żołnierze Wehrmachtu spotykali też knäckebrot, czyli po prostu pieczywo chrupkie. Ten z kolei rodzaj pieczywa zapożyczony został z jadłospisu armii skandynawskich. Szwedzki knäckebröd to chrupiący chleb, którego początki sięgają minionych wieków, gdy Szwecja była krajem ubogim i niezbyt zasobnym w żywność. Panował powszechny głód, który próbowano zaspokoić, wytwarzając pieczywo wypiekane z mączki pozyskiwanej z mielonej kory sosny, wiązu i lipy, mieszanej z mąką żytnią i pszenną. Toczone przez Szwedów wojny, do których >>>

4 Kolejny hitlerowski wynalazek z branży piekarniczej okresu wojny: sztuczny miód w proszku.

5 Papierowa torba na zwieback firmy Knieling z okresu II wojny światowej.

6 Przyprawa do pieczenia ciast marki India, a raczej jej ersatz, z datą przydatności do spożycia: marzec 1945.

7 Blaszane pudełko na wyroby firmy Kemm z Hamburga, producenta m.in. zwiebacku.

8 Pojemnik niemieckich herbatników marki Xox. Produkt był idealną propozycją dla żołnierza, solidna puszka mogła zmieścić się w plecaku, a po zjedzeniu zawartości mogła być wykorzystana w roli zapasowego pojemnika na chleb.

fot. Tomasz Bienek, arch. autora

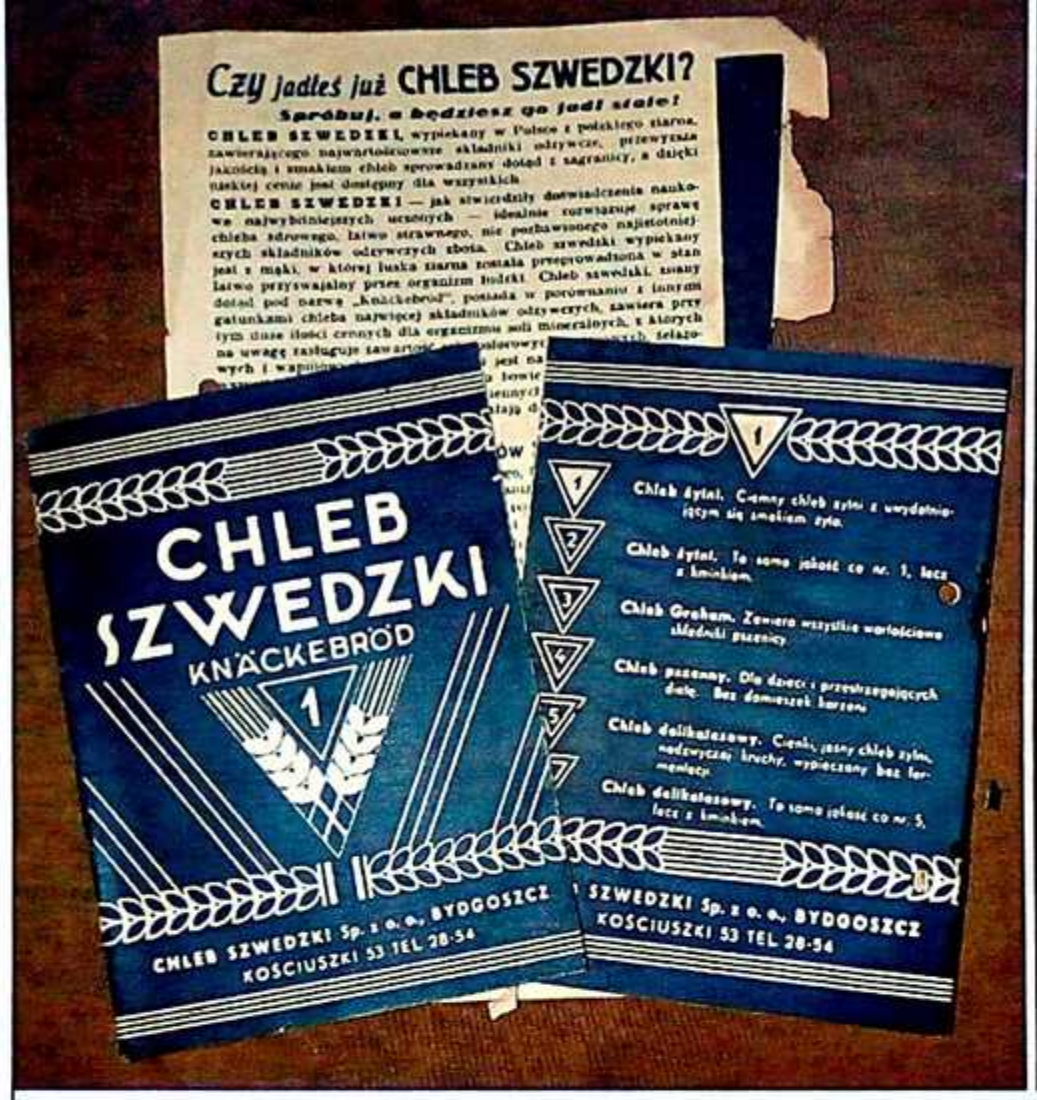

Polskie przedwojenne druki reklamowe producenta pieczywa chrupkiego firmy „Chleb Szwedzki" z Bydgoszczy.

>>> wojowniczych Skandynawów pchały głód i niedostatek, powiązały ten rodzaj pieczywa z wojskowością w północnym obszarze Europy. Świadczy o tym fakt, że w XX wieku armia norweska posiadała znaczne zapasy swojego pieczywa chrupkiego, określanego jako knekkebrød. W latach II wojny światowej szwedzki wojskowy chrupki chleb spotykany był powszechnie na północnym teatrze działań wojennych. W ramach pomocy ze Szwecji otrzymywali go Norwegowie i Finowie, którzy zresztą także wypiekali dla wojska wielkie ilości pieczywa chrupkiego näkkileipä. Fińscy żołnierze, wśród których było wielu myśliwych, drwali, traperów i rybaków, od dziecka nauczonych jak przeżyć w surowym północnym odludziu, potrafili też wypiekać w terenie tzw. chleb polarny, rodzaj prostych, skandynawskich podpłomyków.

Pieczywo chrupkie poznali też żołnierze Wojska Polskiego, a stało się to na krótko przed wybuchem wojny. Firma o wiele mówiącej nazwie „Chleb Szwedzki" z Bydgoszczy oferowała swój sztandarowy produkt jako idealny „do plecaka turysty", a jak wiadomo stamtąd niedaleko już do żołnierskiego tornistra. Choć karierę tego produktu w II RP przerwał wybuch wojny, niemal pewne jest, że co sprytniejsi obywatele zaopatrzyli się w większy zapas tego pieczywa w gęstniejącej wojennej atmosferze końca lat 30.

Chleb tostowy

Żołnierze amerykańscy otrzymywali na pierwszej linii suchary zbliżone do brytyjskich, jednak tradycjami sięgające do czasów wojny secesyjnej. Świeże pieczywo spotykano na tyłach lub w koszarach. Popularny był chleb tostowy, który stanowi właśnie wynalazek amerykański. W latach 30. w komercyjnej sprzedaży w USA pojawił się chleb krojony, który siłą rzeczy zawędrował także pod koszarowe dachy. Produkt ten stanowił w latach II wojny światowej 80 procent pieczywa sprzedawanego w Stanach Zjednoczonych. Ojcem tego popularnego także i dziś produktu jest Otto Frederick Rohwedder, który wymyślił maszynę, która kroiła gotowy chleb, pakując go do szczelnych worków. Dzięki wynalazkowi Rohweddera pierwsze mechanicznie pokrojone bochenki zeszły z linii produkcyjnej przy piekarni w Chillicothe w Missouri w lipcu 1928 roku. W latach II wojny światowej wśród amerykańskich żołnierzy istniało powiedzenie, które wyrażało pozytywną opinię na temat różnych nowości, zarówno wojskowych jak i cywilnych, a brzmiało ono „najlepsza rzecz od czasu, gdy wynaleziono krojony chleb".

Chleb Japończyków i Francuzów

Podczas wojny pieczywo wchodziło także w skład posiłków żołnierzy japońskich, choć nie było ono produktem podstawowym jak w Europie czy Ameryce, gdyż zarówno w japońskim jadłospisie jak i kulturze chleb zajmuje drugorzędną pozycję. Pieczywo w naszym rozumieniu tego słowa dotarło do Japonii w XVI wieku za sprawą portugalskich żeglarzy (sylaba „pan" w nazwach japońskiego pieczywa pochodzi od portugalskiego pão, oznaczającego wypiek). W drugiej połowie XIX wieku, czyli w epoce Meiji, podczas której Japonia odrzuciła >>>

fot. Tomasz Bienek, arch. autora

politykę całkowitego izolacjonizmu i otworzyła się na zachodnie wzorce, pieczywo zyskało na popularności. W latach 80. XIX stulecia w samym tylko Tokio działało już 115 piekarni. W latach 1914–1945 najpopularniejszym gatunkiem japońskiego chleba był shokupan, zbliżony do europejskiego chleba tostowego, wypiekany od początku XX wieku. Zarówno w sprzedaży komercyjnej jak i aprowizacji wojska były bułeczki anpan jak i bochenki meronpan pieczone z dwóch rodzajów ciasta – kruchego na zewnątrz i drożdżowego w środku. Do spopularyzowania chleba w Japonii przyczynił się kryzys w 1918 roku, w wyniku którego wzrosły ceny ryżu. Japońskie pieczywo nie odznaczało się zbyt długim terminem przydatności i, poza kwestiami kulturowymi, także ten fakt dyskwalifikował je jako składnik polowej aprowizacji. Występowało ono raczej przy posiłkach w koszarach, bazach marynarki lub lotnictwa bądź większych garnizonach na zajętych terenach. Wyjątek stanowiły suchary o nazwie kanpan, zbliżone do niemieckiego zwiebacku, ale także one stanowiły raczej uzupełnienie przydziałów żywności.

Styl pieczywa nie różnił podczas obu wojen światowych w armii francuskiej. Tam także wydawano suchary, nazywane „pain de guerre" (wojenne pieczywo). Francuskie piekarnie polowe dostarczały dla wojska charakterystyczne okrągłe bochenki dość dużych rozmiarów. Było to pieczywo wypiekane z ciasta na zakwasie. Znane są zdjęcia francuskich żołnierzy z I wojny światowej przenoszących do okopów bochenki, w celu ułatwienia transportu nadziane po kilka sztuk na przerzucone przez ramię kije.

Ciastka i wafelki

Uzupełnieniem różnych rodzajów chleba, trafiającego do armii całego świata w latach 1914–1945, były najrozmaitsze wyroby piekarnicze w postaci herbatników, wafli, biszkoptów, pierników i ciastek. Przed wojną dostarczano je w zbiorczych opakowaniach do żołnierskich kantyn i spółdzielni. W latach wojny, wysyłane do walczących na froncie oddziałów, stanowiły rarytas nie tylko podnoszący komfort bytowania w polu, ale także produkt dający podczas służby chwilę wytchnienia i namiastkę normalnego życia. Na potrzeby Wehrmachtu znane do dziś firmy takie jak Leibnitz czy Bahlsen dostarczały tony ciastek i wafli. Wśród bardzo szerokiej gamy tego typu wypieków przynajmniej dwa powinny zwrócić uwagę kolekcjonera i poszukiwacza. Blaszane pojemniki po piernikach produkowanych według tradycyjnych receptur w Norymberdze zrosły się z wizerunkiem niemieckiej armii za pośrednictwem wielu albumów na tyle, że stały się poszukiwanym militarnym artefaktem.

Drugi z produktów tego typu dotyczy Wojska Polskiego z lat II RP i pozostaje raczej mało znany. Istniejąca w Cieszynie firma Schramek, założona przez braci Brunona i Wilhelma Schramków, była >>>

U-Boot. Życie codzienne na niemieckim okręcie podwodnym w czasie II wojny światowej.
Lawrence Paterson
Autorzy albumu zebrali ponad 60 relacji marynarzy tych statków.
Członkowie załóg U-Bootów opowiadają o swoich przeżyciach, losach zwyczajnych ludzi uwikłanych w przerażającą wojnę...
Zamów na
www.odk.pl
tel. 42 631 10 97
42 630 71 41
Księgarnia Odkrywcy

Pojemnik sucharów niemieckiej firmy Kinkartz, jeden z wielu tego typu towarów wysyłanych na front.

Metalowy pojemnik na herbatniki francuskie sprzed 1940 roku.

Pojemnik na wyroby cukiernicze firmy K. Mystkowski z Kalisza. Przed wojną w drodze wojskowych zamówień produkty takie trafiały do armii.

>>> producentem ciasteczek i wafli różnego typu, które z pewnością zasilały ofertę kantyn i kasyn śląskich garnizonów. Produkcja ta po 1939 roku była kontynuowana na potrzeby Wehrmachtu. Po wojnie upaństwowiony zakład pod nazwą Zakłady Przemysłu Cukierniczego Olza wypuścił w 1955 roku wafelek Prince Polo, który także obrósł już legendą, na szczęście nie wojenną.

Nietypowy „chleb" i „piekarnia"

Powszechność chleba w wojennej aprowizacji podczas obu wojen światowych przełożyła się też na fakt, że frontowcy mianem „bochenków" szybko zaczęli nazywać rodzaje cięższej amunicji artyleryjskiej. Sporadycznie w realiach wojny termin „chleb" pojawiał się też w odniesieniu do innych elementów morderczego arsenału, o czym świadczą wspomnienia Williama Lubbecka:

„Wkrótce po Bożym Narodzeniu Schütte zaczął mi się żalić, że nudzi go monotonia służby w obsłudze działa. Pewnej mroźnej nocy postanowił przejść do działania. (...) Uzbrojony jedynie w MP-40 i kilogramowy ładunek dynamitu, Schütte przemknął się między sowieckimi wartownikami i podpełznął do schronu. Cisnął ładunek do środka, krzycząc do skazanych na zagładę Rosjan: »Macie chleba!« Tocząc swoją własną wojnę, dokonał tego szaleńczego wyczynu kilkakrotnie".

Zdarzało się, że stworzone gigantycznymi kosztami maszyny wojenne stawały się znienacka piekarniami dostarczającymi chleb dla cierpiących głód żołnierzy i cywilów. Wiosną 1945 roku, na odciętym i zatłoczonym dziesiątkami tysięcy uciekinierów Półwyspie Helskim, piece do wypieku chleba zbudowano w blokach koszarowo-bojowych najcięższej artylerii nadbrzeżnej. Armaty kal. 406 mm zostały kilka lat wcześniej przeniesione z Helu na Wał Atlantycki, wobec czego ich działobitnie przestały pełnić swoją pierwotną funkcję i nadawały się do przekształcenia w ogromne piekarnie, mogące dostarczać chleb masom wojska i ludności cywilnej stłoczonym na mierzei. Mąka pochodziła z wielkich magazynów Kriegsmarine w Helu. Dzięki staraniom twórców helskiego Muzeum Obrony Wybrzeża, jeden ze zrekonstruowanych pieców chlebowych z 1945 roku, znajdujących się wewnątrz szybu gigantycznej wieży artyleryjskiej, można obejrzeć na terenie stanowiska B2 „Bruno", udostępnionego do zwiedzania.

Wiele armii opracowało też instrukcje dotyczące budowy prostych pieców o ceglanej konstrukcji, które w przypadku zatrzymania się linii frontu na dłuższy czas, mogły nie tylko podnieść komfort życia w co większych schronach, ale służyć także do wypieku chleba. Podobno w piece takie wyposażone były legendarne schrony UPA w Bieszczadach, gdy w ostatnim okresie swojej aktywności ukraińskie sotnie ratowały się zejściem do tzw. „kretowisk" – rozległych podziemnych schronów, które miały umożliwić dalszą walkę z oddziałami Wojska Polskiego.

Tomasz Bienek

Entuzjasta historii obu wojen światowych, kolekcjoner żołnierskiego ekwipunku z lat 1914–1945, miłośnik fantastyki i fan rockowej muzyki, polskich gór i polskiego morza. Z wykształcenia humanista, z doświadczenia zawodowego – reporter w prasie codziennej. Autor rubryki „Wojna od kuchni" w miesięczniku „Odkrywca". Wyznawca maksymy stworzonej i wyśpiewanej przez Marka Grechutę: „ważne są dni, których jeszcze nie znamy".

Pudło po ciastkach z katowickiej fabryki Schlesingera.

Blaszany pojemnik po sucharach Hultsch-Zwieback.

LITERATURA:

WILLIAM LUBBECK, „U bram Leningradu. Wspomnienia żołnierza Grupy Armii »Północ«". Wydawnictwo Bellona, Warszawa 2009.
LAWRENCE PATERSON, „U-Boot. Życie codzienne na niemieckim okręcie podwodnym w czasie II wojny światowej", Carta Blanca, 2011.
JIM POOL & THOMAS BOCK, „Rations of the German Wehrmacht in World War II" Schiffer Military History 2010.
TOMASZ SZAROTA „Okupowanej Warszawy dzień powszedni", Czytelnik, Warszawa 1978.

fot. Tomasz Bienek, arch. autora

9

10

11

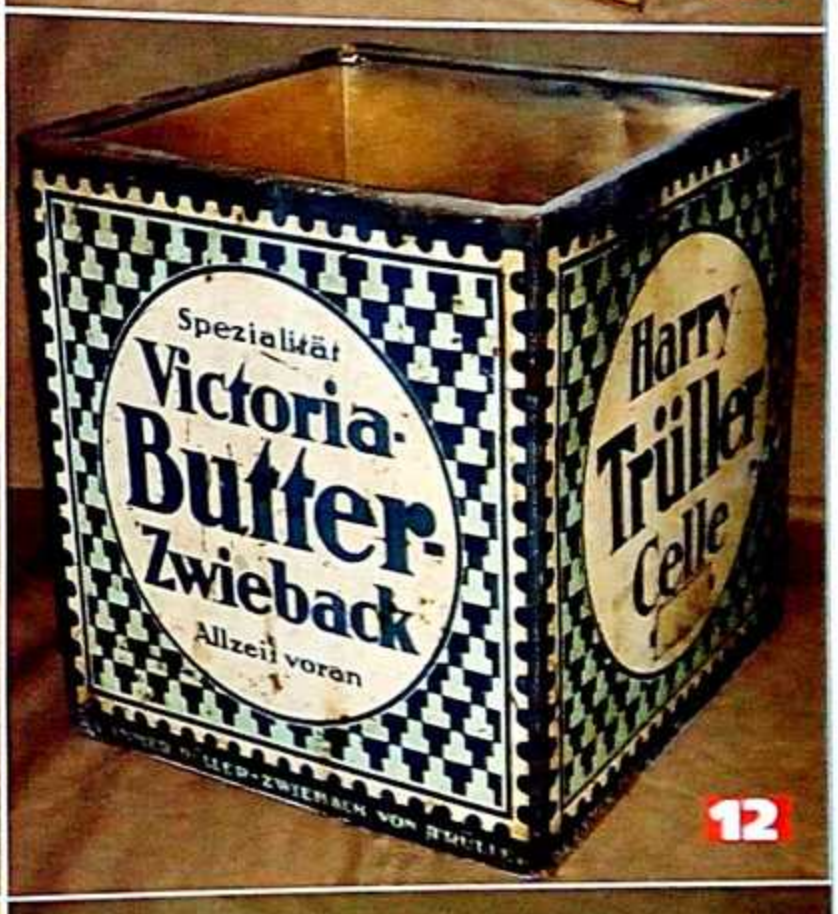

12

13

14

9 Sporych rozmiarów pudło ciastek lwowskiej firmy Branka.

10 Ciekawy relikt II RP i aprowizacji przedwojennego Wojska Polskiego, pudło na wyroby firmy Schramek z Cieszyna. Po wojnie w murach tej fabryki „przyszedł na świat" legendarny wafelek PRL-u Prince Polo.

11 Pudło po zwiebacku firmy Emil Pauly's.

12 Kolejnym masowo trafiającym do Wehrmachtu produktem był zwieback marki Victoria Butter Zwieback, produkowany przez firmę Harry Trüller z Celle.

13 Emaliowany szyld firmy Harry Trüller, jednego z niemieckich potentatów w produkcji sucharów i innych wyrobów piekarskich.

14 Tekturowe pudełko niemieckich herbatników z Raciborza.

OBIEKT ALFA

JACEK DROŻDŻ

W Warszawie znajduje się miejsce, w którym wojsko prowadziło badania nad bronią biologiczną i chemiczną – i znajduje się ono niemal w centrum stolicy, tuż obok powązkowskiego cmentarza.

Deszczowe, zimne, sobotnie popołudnie. Warszawa – prawie centrum. Staję przed bramą Wojskowego Instytutu Higieny i Epidemiologii. Przepustka, kontrola dokumentów.

Za chwilę zostanę wpuszczony do jedynego tego typu obiektu w Polsce – choć miały powstać takie trzy – roboczo nazwane Alfa, Beta i Gamma. Wybudowano tylko jeden – w Warszawie. Niepozorny budyneczek obsypany ziemią. Przed budynkiem niewielka suwnica bramowa – ot, pewnie jakiś magazyn albo warsztat. Nawet drzwi wejściowe nie zdradzają jakiegoś szczególnego przeznaczenia budowli. Może tylko czerpnie powietrza mogą wzbudzić zainteresowanie obserwatora.

W końcu wchodzę do środka. Pierwsze wrażenie – bunkier atomowy? Śluzy, stalowe, zakręcane drzwi z grubymi uszczelkami, przewody wentylacyjne z klapami przeciwwybuchowymi. Nic dziwnego, znajdujące się tu laboratorium posiadało III klasę bezpieczeństwa. Powstały w drugiej połowie XX wieku obiekt miał służyć prowadzeniu badań nad ochroną przed bronią masowego rażenia, skażeniami chemicznymi i biologicznymi, a także nad wytrzymałością ludzkiego organizmu – fizyczną i psychiczną. >>>

Po lewej, za pancernymi szybami – pomieszczenia dekontaminacji.

>>> Przechodzimy przez pomieszczenie obsługi z zachowanym całym, kompletnym i sprawnym wyposażeniem. Po prawej pomieszczenia służące kilkuetapowej dekontaminacji. Pancerne okna oplecione gęstą siecią przewodów, czujników i węży doprowadzających środki odkażające. Nad głowami kamery z krajowej „Unitry WZT" czujnie śledzące nasze ruchy. Monitorem jest poczciwy, czarno-biały telewizor stojący w jednym z pomieszczeń obsługi.

W kolejnym pomieszczeniu – swoiste „centrum sterowania" schronem. To tutaj skupiają się wszystkie linie czujników, systemów kontrolnych. Tu znajduje się pulpit pozwalający zdalnie zamknąć wszystkie śluzy i drzwi, odcinając obiekt od zagrożenia z zewnątrz... ale i chroniąc świat zewnętrzny – gdyby coś w bunkrze poszło „nie tak". Według opowieści miano tutaj badać nawet bakterie wąglika. Tutaj, gdyby świat nawiedziła atomowa pożoga, zawyłby alarm urządzenia stale monitorującego poziom promieniowania. Urządzenie działa nadal i nawet udowodniło swoją skuteczność w kwietniu 1986.

Następne pomieszczenie to pokój lekarzy – pomieszczenie biurowe, gdzie pracujący tu naukowcy przenosili wyniki swoich badań na papier. Dalej znajduje się kuchnia – najbardziej cywilne pomieszczenie schronu. Znajdziemy tu dobrze nam znane meble z lat 70. i 80., które pamiętamy >>>

fot. J. Drożdż

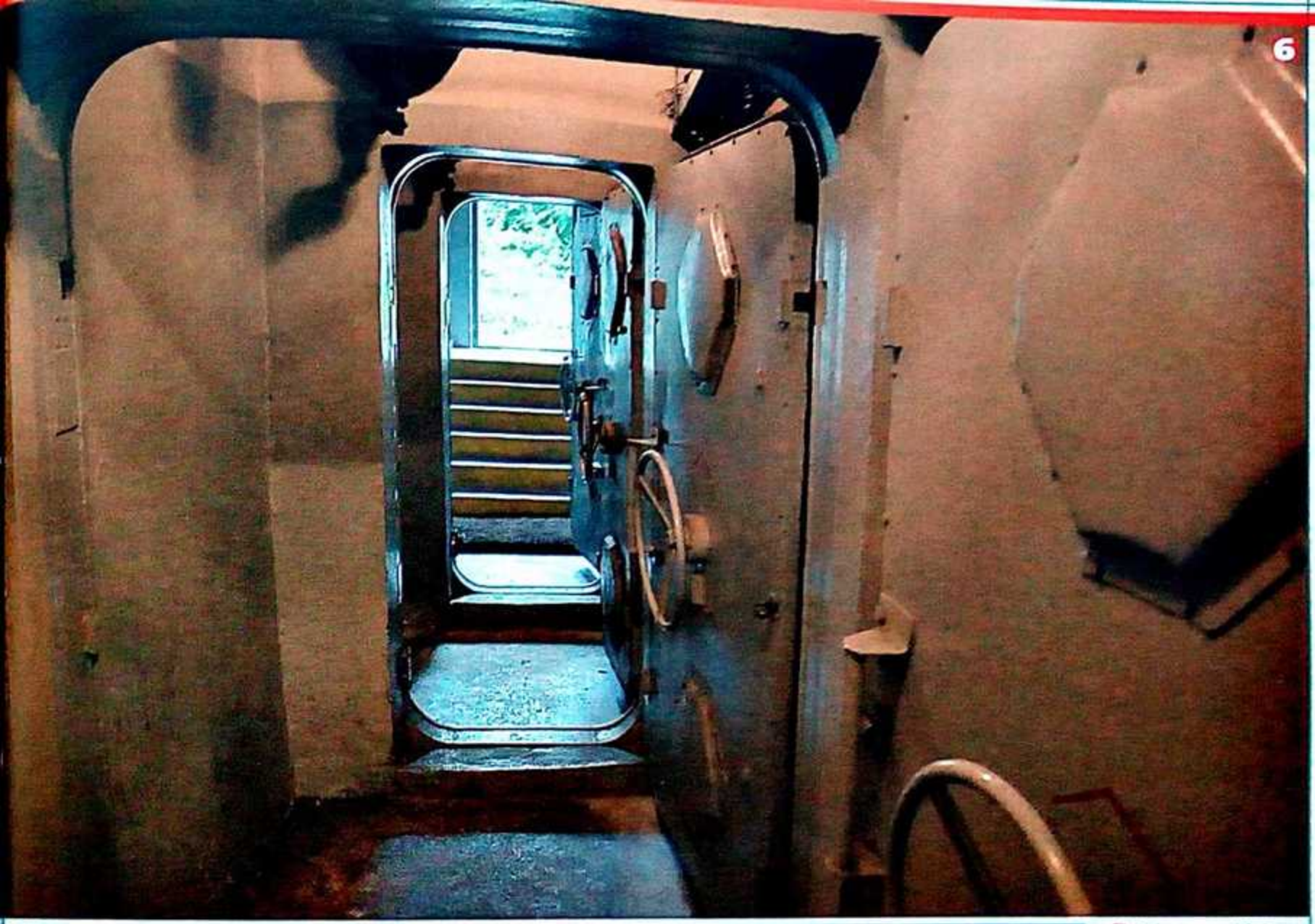

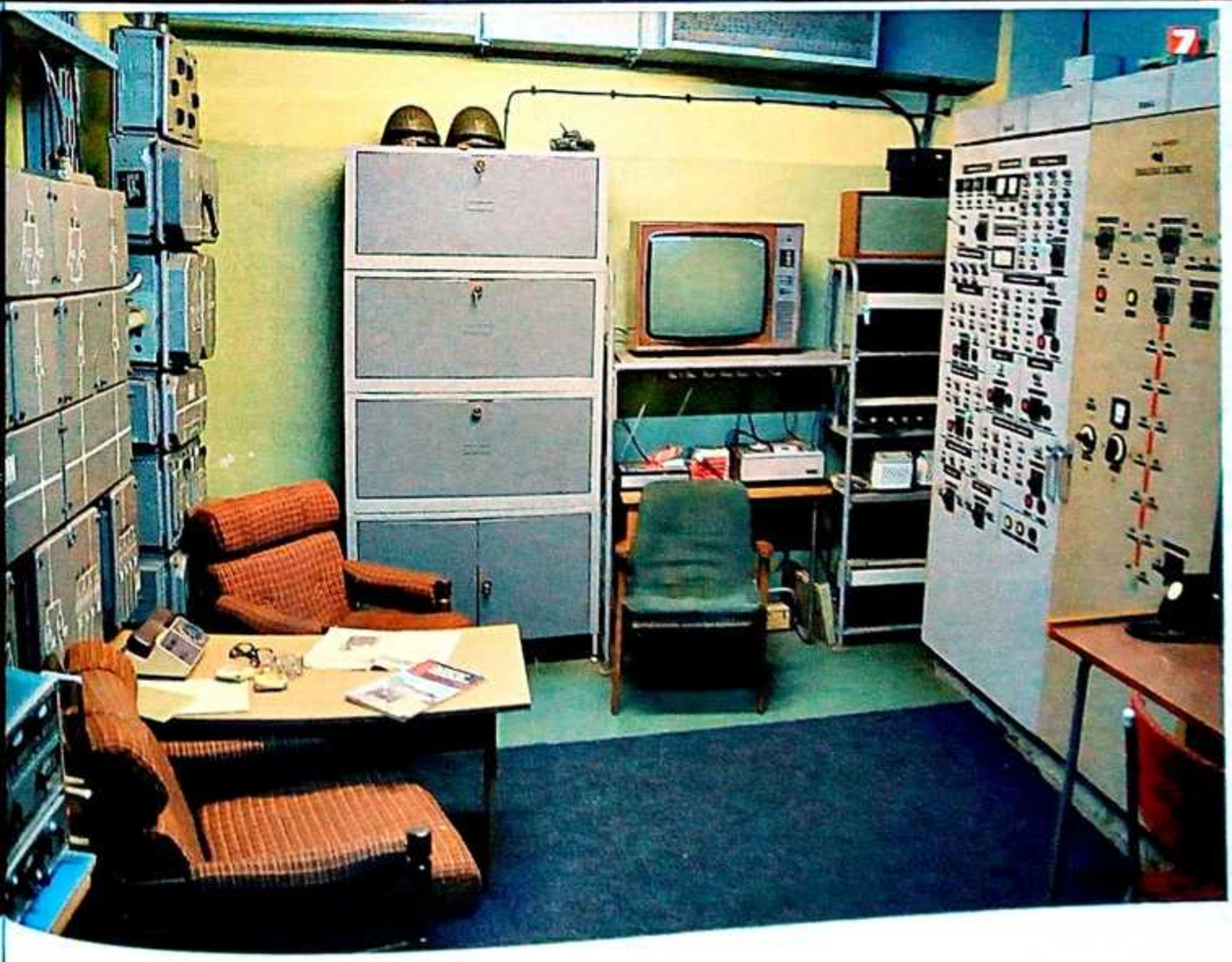

1 Schron – widok z zewnątrz.

2 Jedna z czerpni powietrza.

3 Centrala systemu alarmowego.

4 Urządzenie monitorujące poziom promieniowania. To właśnie ono „zawyło" 26 czerwca 1986 roku.

5 Kuchnia. Stan oryginalny. Niektóre półki opisane nazwiskami użytkowników laboratorium.

6 Wejście do obiektu – system śluz.

7 Pomieszczenie dowodzenia. Widoczny monitor monitoringu, po prawej szafa sterownicza.

8

9

10

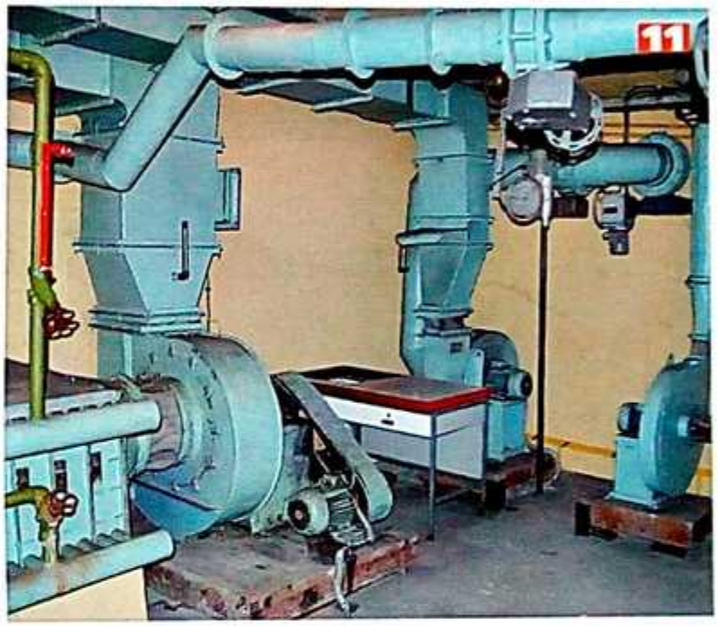

11

12

>>> z dzieciństwa, na półkach butelki coli, na stole talerze z „Konsumów", szklanki w nieśmiertelnych koszyczkach. Wszystko wygląda tak jakby stalowe drzwi prowadzące do wnętrza schronu były drzwiami do wehiku czasu – zamykając je, przenosimy się 30 lat wstecz.

Ale to nie wszystko. W schronie możemy obejrzeć laboratorium toksykologiczne, maszynownię (całkowicie sprawną), stację filtrów i pokój zabiegowy. Każde pomieszczenie ma oryginalne wyposażenie, niezniszczone, niezdemolowane i w pełni sprawne.

Laboratorium zakończyło swoją ściśle tajną działalność na początku lat 90. Wykorzystywano je jeszcze do 2010 roku, jednak już w bardziej pokojowych celach. Wtedy ostatecznie obiekt zakończył swą działalność.

Na szczęście nie podzielił losów innych zimnowojennych pamiątek. Pewnie dlatego, że pozostaje nadal na terenie wojskowym i żaden mistrz palnika nie ma tam wstępu ze swoim podręcznym warsztacikiem.

Ogromną pracę wykonują również ludzie z Fundacji Edukacji Historycznej. Dzięki nim obiekt „żyje", jest utrzymywany w stanie pełnej sprawności technicznej i można go zwiedzać, do czego ogromnie zachęcamy. To po prostu trzeba zobaczyć.

Dziękuję Panu Michałowi Kępińskiemu z Fundacji Edukacji Historycznej za oprowadzenie po Obiekcie „Alfa" i opowiedzenie fascynującej historii. Zapisy na zwiedzanie na stronie www.obiektalfa.pl. <

Jacek Drożdż
Pasjonat historii, Dolnego Śląska. Miłośnik wędrówek po ciekawych miejscach w Polsce. Członek Grupy Poszukiwawczej Riese.

8 Pokój zabiegowy. Mikrofon widoczny w prawym górnym rogu służył do rejestracji wyników badań.

9 Jedno z pomieszczeń laboratorium.

10 Kamera systemu wewnętrznego monitoringu.

11 Maszynownia.

12 Jedno z pomieszczeń.

fot. J. Drożdż

SCHRONY WĘZŁÓW ŁĄCZNOŚCI KOLEJOWEJ BASA

CZĘŚĆ 2

BOGUSŁAW MUSIELAK

W Poznaniu w latach 1941/42 uruchomiono centralę łączności kolejowej systemu BASA wyposażoną w najnowocześniejszy, jak na tamte czasy, sprzęt.

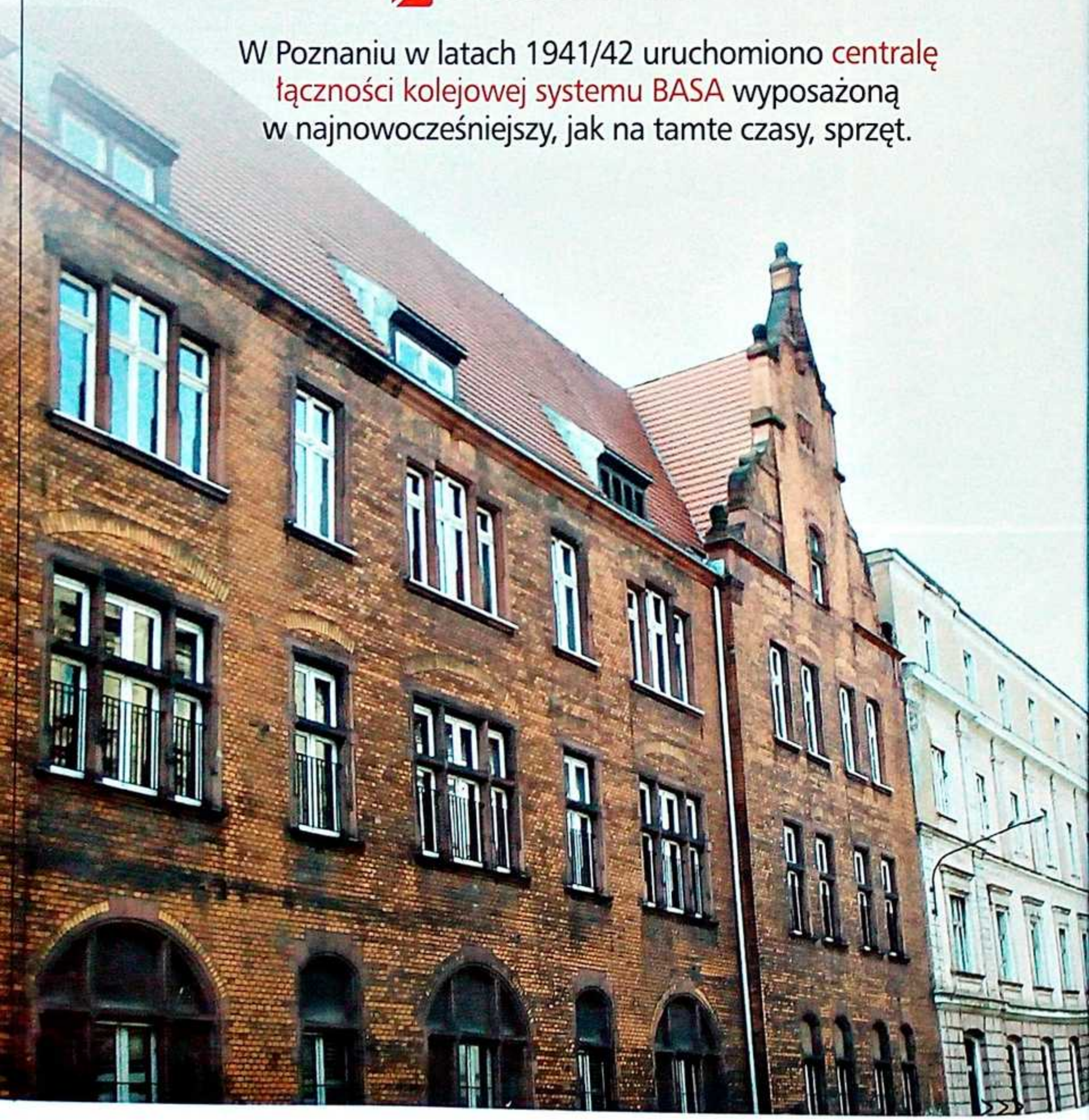

BASA (BAhn-Selbstanschluss--Anlage) to niemiecki system łączności stworzony z myślą o przewozach kolejowych uruchomiony dla Reichsbahn w 1928 roku. Oparty był na sprzęcie firmy Siemens & Halske o nowatorskich, jak na owe czasy, rozwiązaniach. W latach 30. ubiegłego wieku elementy tego systemu zostały połączone w jedną całość, umożliwiając skoordynowanie całej niemieckiej sieci przewozów kolejowych. Podczas II wojny sieć objęła całą okupowaną Europę, tworząc jeden z najlepszych systemów łączności. Był to zarazem pierwszy w historii Europy automatyczny system łączności o zasięgu kontynentalnym. Posiadanie takich możliwości w zakresie centralnego sterowania ruchem kolejowym stwarzało ogromne możliwości logistyczne szybkiego przemieszczania wojsk oraz odpowiedniego reagowania na potrzeby gospodarki wojennej na całym obszarze okupowanej Europy.

Poznań już na przełomie XIX i XX wieku był węzłem kolejowym o dużym znaczeniu. Najpierw dla Prus, a następnie dla niepodległej Polski. W czasie II wojny światowej dla gospodarki hitlerowskich Niemiec i ich dalszej ekspansji militarnej na wschód węzeł ten zyskał jeszcze na ważności.

Schron BASA w Poznaniu

Nie dziwi fakt, że w latach 1941/42 uruchomiono centralę łączności kolejowej systemu BASA wyposażoną

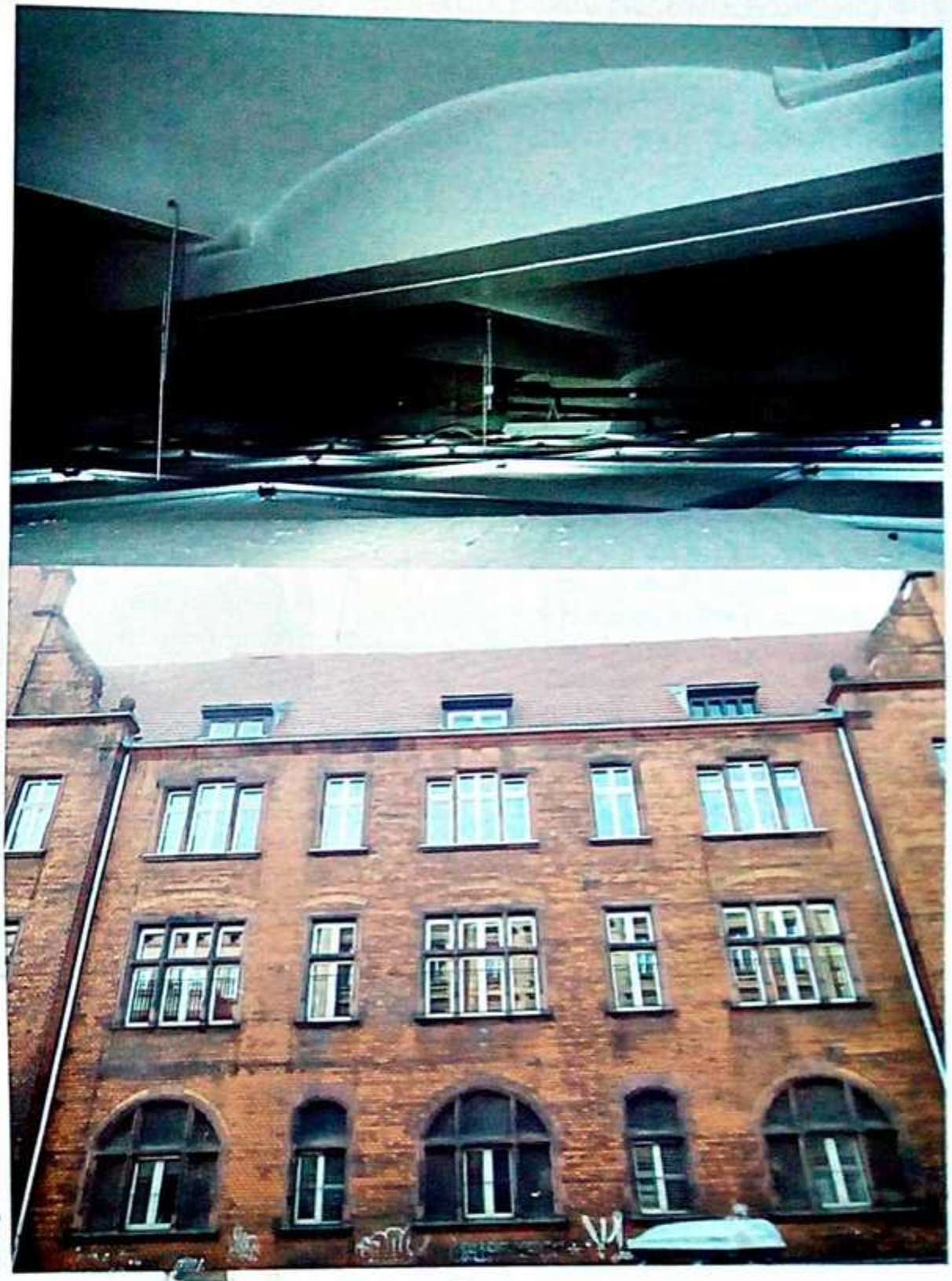

fot. Bogusław Musielak

Fot. 2. Wzmocnienie stropu parteru, obecnie zamaskowane podwieszonym sufitem.

Fot. 3. Widok od strony ulicy.

Fot 1. Stara Dyrekcja Kolei wzdłuż ulicy Stanisława Taczaka.

>>> w najnowocześniejszy, jak na tamte czasy, sprzęt.

Umieszczono ją w części budynku tzw. Starej Dyrekcji Kolei[1]. Konkretnie w skrzydle budynku umiejscowionego wzdłuż dzisiejszej ulicy Stanisława Taczaka (fot. 1). Najpierw jednak odpowiednio zaadaptowano sam budynek. Pogrubiono i wzmocniono ściany piwnic i parteru, po czym wykonano wewnątrz budynku oparty na stalowych dźwigarach wzmocniony strop (fot. 2). Po takich zabiegach bryła budynku pozostała w zasadzie niezmieniona. Jedyna widoczna zewnętrzna forma przebudowy to częściowe zamurowania otworów okiennych sali telekomutacyjnej (centrali telefonicznej) w części parterowej będące wynikiem wzmocnienia od wewnątrz ścian tej części budynku (fot. 3 i fot. 4). Od wewnątrz otwory okienne były zamykane stalowymi okiennicami suwanymi na specjalnych szynach. Rozwiązanie to dotyczyło zarówno okien piwnicznych (fot. 5), jak i parterowych

Powstał w ten sposób schron, w którym w 1942 roku zainstalowano główny węzeł łączności składający się z automatycznej centrali systemu Siemens & Halske oraz system telefonii wielokrotnej (dalekosiężnej) ME-8 wchodzących w skład systemu BASA.

W części piwnicznej (rys. 1) były zlokalizowane kablownie (fot. 6 i fot. 7), duża akumulatornia oraz pomieszczenie z agregatem prądotwórczym (fot. 8 i fot. 10). W tym pomieszczeniu były też umieszczone trzy komplety niemieckich filtrowentylatorów typu HES-2,4 (fot. 11), wyposażone dodatkowo w grzałki powietrza. Zasilały one w czyste powietrze pomieszczenia zlokalizowane na parterze.

W części parterowej (rys. 2) prócz pomieszczeń administracji węzła mieściły się sale urządzeń łączności przewodowej, urządzeń telefonii nośnej (dalekosiężnej), telefonicznych urządzeń komutacyjnych (automatyczna centrala), urządzeń komutacji telegraficznej (mała centralka automatyczna).

Podkreślić należy, że urządzenia centrali po rozbudowie do systemu czterocyfrowego eksploatowane były aż do 2000 roku. Charakterystyczną oznaką funkcjonowania centrali dla osób postronnych przemieszczających się pieszo obecną ul. Stanisława Taczaka >>>

Fot. 4. Widok od strony podwórza.

Fot. 5. Zasuwana stalowa okiennica w części piwnicznej.

Fot. 6. Kablownia.

fot. i rys. Bogusław Musielak

RZUTY KUBATUR ZAADAPTOWANYCH NA SCHRON BASA

RYS. 1. CZĘŚĆ PIWNICZNA.

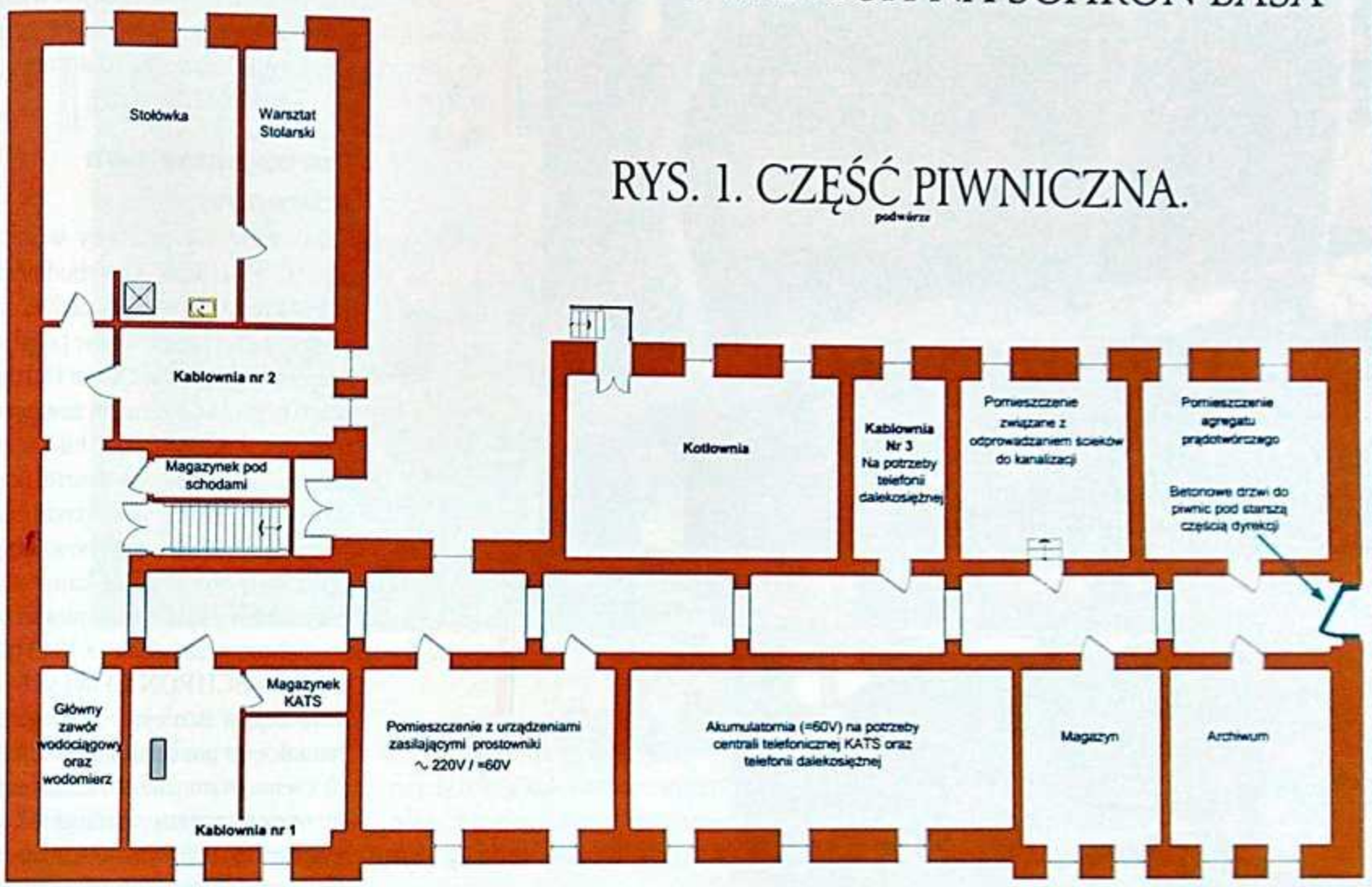

ul. Stanisława Taczaka

Rys. B.Musielak

RYS. 2. CZĘŚĆ PARTEROWA

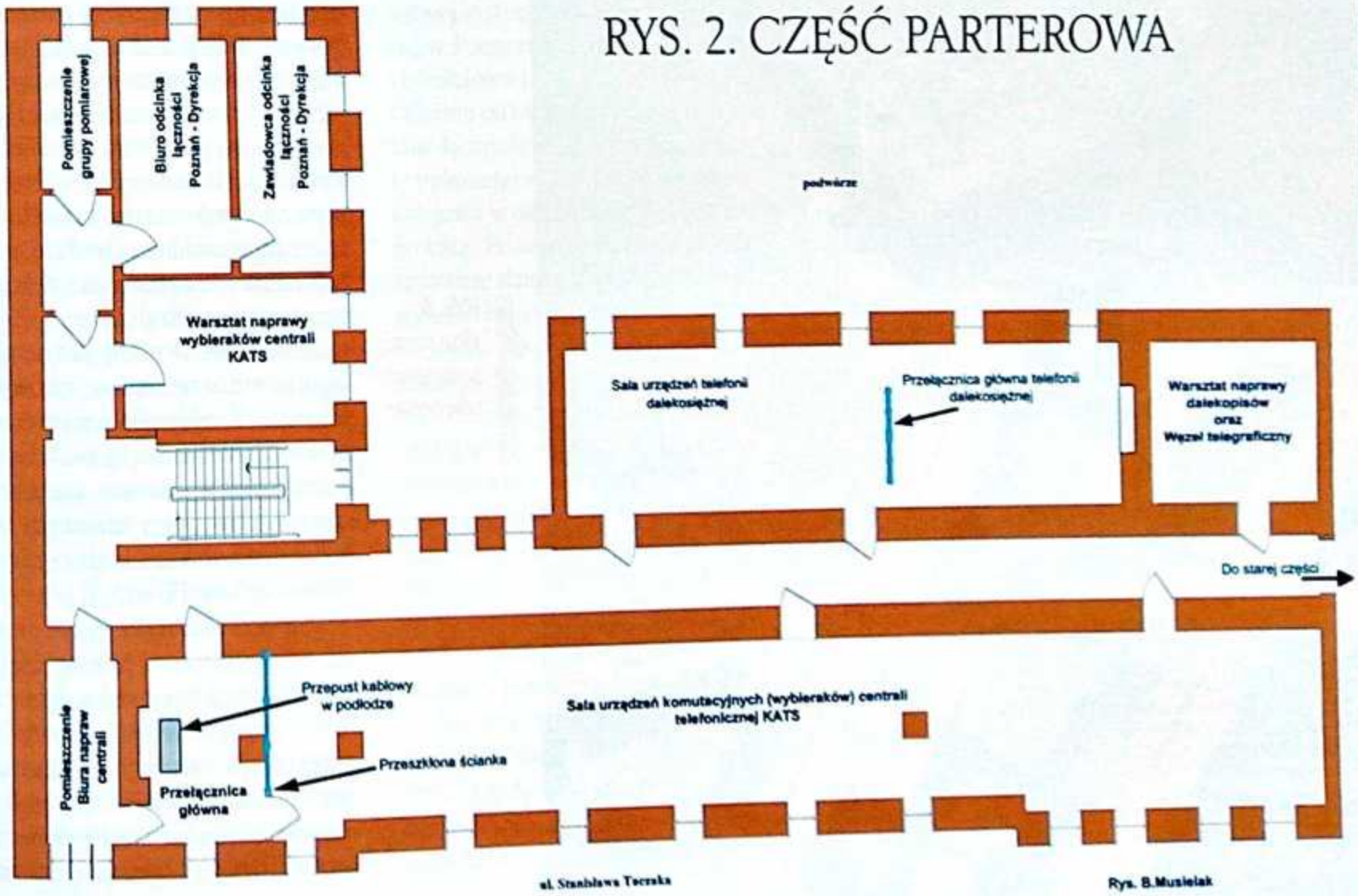

ul. Stanisława Taczaka

Rys. B.Musielak

Fot. 7. Element dopasowania linii Poznań – Berlin.

Fot. 8. Agregat zasilania awaryjnego.

RYS. 3 Plan umiejscowienia schronów.

>>> był charakterystyczny dźwięk pracy elektromechanicznych wybieraków będącymi elementami komutacyjnymi (łączącymi) automatycznej centrali telefonicznej.

Porównanie obu schronów

Schron BASA, opisany w cz. I, (rys. 3 – SCHRON A) wybudowany w 1944 roku był w pełni dedykowany pod węzeł łączności i w pełni zabezpieczony (grubość ścian i stropu) przed takimi zdarzeniami zewnętrznymi jak bombardowanie lub ostrzał mimo postawienia na otwartej przestrzeni. Malując na zewnętrznej elewacji zarysy okien, próbowano go upodobnić do miejskiej kamienicy, przynajmniej w widoku z powietrza.

Schron wcześniejszy z 1942 roku (rys. 3 – SCHRON B) był jedynie adaptacją w istniejącym budynku. Jednak i on posiadał pewne zabezpieczenia (wzmocnienie ścian i stropu oraz pancerne okiennice), ale siłą rzeczy zdecydowanie słabsze. Był za to lepiej zakamuflowany, bo w teoretycznie cywilnym budynku.

Porównując obydwa schrony, widać duże podobieństwo w rozplanowaniu pomieszczeń technicznych. Na niższym poziomie znajdowały się struktury techniczne zapewniające warunki dla prawidłowej realizacji zasadniczych funkcji. Na wyższym poziomie umieszczono urządzenia realizujące zasadniczą funkcję, jaką była łączność za pośrednictwem automatycznej centrali.

Jest przekaz ustny dotyczący tego, co miało się znaleźć w nowym schronie. Współcześnie na pytanie młodego pracownika łączności o to, co miało być w schronie, stary pracownik pamiętający lata wojny odpowiedział, że taka sama centrala jak jest w Starej Dyrekcji.

Nie do końca może to być prawdą, gdyż patrząc na powierzchnię przeznaczoną na wyposażenie techniczne widać, że centrala w budynku dyrekcji była co najmniej dwa razy większa niż w tym schronie. Nie mówiąc o tym, że w schronie nie przewidziano miejsca na elementy

fot., rys. Bogusław Musielak

Fot. 10. Oryginalna niemiecka szafa sterownicza agregatu.

Fot. 11. Niemiecki filtrowentylator zdemontowany z pomieszczenia agregatów.

telefonii dalekosiężnej, takie jak np. wzmacniaki.

Na pytanie, jaką konkretnie rolę przewidziano dla centrali w nowszym i solidniejszym schronie, nie ma konkretnej odpowiedzi.

Tezę, że chciano przenieść funkcjonującą już centralę ze Starej Dyrekcji do schronu, trzeba odrzucić z tego względu na to, że demontaż i ponowny montaż był przedsięwzięciem bardzo skomplikowanym, czasochłonnym i wymagającym zaangażowania do precyzyjnych prac specjalistów.

Teza, że chciano jedynie zdublować istniejącą centralę celem zapewnienia ciągłej łączności w ramach zagrożenia wojennego jest dość ryzykowna, zważywszy, że pierwsza centrala była już cokolwiek zabezpieczona. Budowanie więc prawie w tym samym miejscu drugiej centrali, prawda że dużo bardziej zabezpieczonej, byłoby rozwiązaniem dość nietypowym, można wręcz powiedzieć, że zbyt rozrzutnym.

Najbardziej prawdopodobne jest to, że centrala w schronie miała być przeznaczona do innych dodatkowych zadań. Być może na potrzeby łączności dyspozytorskiej, związanej bezpośrednio z kierowaniem ruchu kolejowego na obszarze danej dyrekcji kolei wraz z synchronizacją ruchu kolejowego generowanego przez dyrekcje sąsiednie.

Podsumowanie

Kończąc opis schronów łączności kolejowej systemu BASA znajdujących się w Poznaniu, podkreślam fakt, że kolejowa łączność działała niezależnie od innych rodzajów i środków łączności. Gdy Niemcy zostały pokonane w 1945 roku, łączność kolejowa w dalszym ciągu funkcjonowała. Po wojnie Polska zyskała sprawnie działającą sieć, w szczególności na terenach wcielonych na początku wojny do Rzeszy. Centrala kolejowa działająca w tym czasie w Poznaniu była najnowocześniejszą i najlepiej wyposażoną w Polsce[2]. Na pozostałych terenach trzeba było jedynie uzupełnić i wyposażyć istniejącą już szkieletowo strukturę. Niemiecki skrót BASA jako określenie węzła zastąpiono odpowiednikiem polskim KATS (Kolejowa Automatyczna Telefoniczna Stacja).

Kończąc, ponawiam prośbę o odzew czytelników, którzy mogli mieć kontakt z elementami systemu łączności BASA. Kontakt e-mailowy: musielakboguslaw5@gmail.com

Podziękowania:
Chciałbym szczególnie podziękować panu Januszowi Konopińskiemu, długoletniemu pracownikowi Pozaklasowego Odcinka Łączności Kolejowej Poznań Dyrekcja, za dostarczenie cennych informacji dotyczących łączności kolejowej.

Bogusław Musielak
Pasjonat i wieloletni badacz fortyfikacji XIX i XX-wiecznych. Współzałożyciel stowarzyszenia Porozumienie dla Twierdzy Poznań oraz współorganizator cyklicznej imprezy miejskiej Dni Twierdzy Poznań.

PRZYPISY

[1] W Poznaniu istnieją zabudowania dwóch dyrekcji kolei:
– Stara Dyrekcja zlokalizowana w rozwidleniu ulic Kościuszki i Taczaka wybudowana dla Królewskiej Dyrekcji Kolei (Königliche Eisenbahndirection zu Posen) w latach 1873–1874. W 1895 roku dobudowano osobny budynek przy ul. Taczaka, który w latach późniejszych połączono z pierwotnym. Właśnie w tym dobudowanym została zainstalowana automatyczna centrala sieci BASA;
– Nowa Dyrekcja zlokalizowana po sąsiedzku pomiędzy ulicami Kościuszki a Aleją Niepodległości. Budynek zdecydowanie większy i bardziej reprezentacyjny budowany w latach 1910 –1916
[2] Inż. Henryk Śmigelski – Wielka sieć telefoniczna PKP i współpraca na niej kolejowych łącznic automatycznych – PRZEGLĄD TELEKOMUNIKACYJNY Nr 3/1946r.

KASA, MISIU, KASA

RADOSŁAW BICZAK

EKSPLORATOR, POSZUKIWACZ, PODRÓŻNIK, AUTOR KSIĄŻEK. KOPANIE ROWÓW MELIORACYJNYCH I ZBIERANIE ZŁOMU NIE SĄ MU OBCE. DZISIAJ INSPEKTOR DS. OCHRONY ŚRODOWISKA NA DUŻYM KONTRAKCIE.

Żył onegdaj taki trener reprezentacji Polski w piłce nożnej – Janusz Wójcik, człowiek, który rozstał się z tym padołem w listopadzie zeszłego roku. Oprócz srebrnego medalu zdobytego przez Polskę na olimpiadzie w Barcelonie zasłynął wieloma ciekawymi powiedzeniami. Jednym ze słynniejszych, które weszło na trwałe do słownika, była odpowiedź na pytanie, czemu rezygnuje z trenowania Legii Warszawa na rzecz olimpijskiej reprezentacji Zjednoczonych Emiratów Arabskich. „Kasa, misiu, kasa..." padło z ust szkoleniowca w szczerej odpowiedzi, a nie jakieś głodne kawałki o krzewieniu sportu. Skąd nawiązanie do piłki nożnej w czasopiśmie o poszukiwaniach? Jedyny związek, że tu i tu się kopie? Pozornie. W jednej i drugiej dyscyplinie nie brakuje naiwnych kibiców. Jedni wierzą, że chodzi o sport i żeby wygrał lepszy. Drudzy, że chodzi o troskę nad zabytkami. Prawda jest mniej romantyczna – zazwyczaj chodzi o kasę, a ideały są niezłą przykrywką.

Niektórzy nie potrafią pojąć, jakim cudem wykształceni ludzie z uporem maniaków twierdzą, że łuski są zabytkami, a nawet można usłyszeć, że puszka po piwie może mieć takie znamiona, jeśli zostanie wrzucona w odpowiednie miejsce, np. do rozkopanego grobu wikinga, bo pozwoli datować, kiedy działali tam rabusie... Super. Polska archeologicznymi detektywami stoi. Od poszukiwaczy można usłyszeć – bzdura, to nie ma sensu, nauka traci, etc. Czasami w złości czy bezradności ktoś stwierdzenie okrasi przykładem rzeczywiście niszczonego zabytku, którego diabli wzięli, bo galerię trzeba było postawić, zrobić rondo albo działki sprzedać deweloperom. Do piekła niepamięci trafiają średniowieczne fundamenty, nieprzebadane studnie, reduty. A w świecie równoległym stawia się przed sądem ustrzelonego poszukiwacza, który pałętał się z piszczałką po zaoranym polu i kopał popularne jak pchły na wiejskim psie boratynki. Bez sensu? Tylko pozornie. Ustawa o ochronie zabytków poza kosmetyką właściwie się nie zmieniła. Dalej można prowadzić poszukiwania, spełniając określone wymogi. Nikt nie zabronił (jeszcze) posiadać wykrywacza metali czy magnesu neodymowego. Mały niuans – to przede wszystkim zmieniają się stawki kar finansowych za poszukiwania bez zgody czy niszczenie zabytków (np. złe przechowywanie, konserwacja etc.). Nie trzeba ministerialnego rozumu, wystarczy chłopski – jeżeli kogoś stać na posiadanie drogiego sprzętu elektronicznego, często samochodu i warunków finansowych, które pozwalają na realizowanie hobby, ten potencjalnie ma pieniądze. Są nawet wyliczenia, ile planuje się wyciągnąć hajsu z nałożonych kar – oczywiście różnych, bowiem poszukiwania są zaledwie jednym z elementów ustawy, która nawiązkami pomoże wspierać Narodowy Fundusz Ochrony Zabytków.

Powie ktoś, że to spiskowa teoria. Jasne, można to tak postrzegać, ale jeśli zbije się to z innymi informacjami, to zaczyna dawać do myślenia. Przykłady można mnożyć, ale tak na gorąco: zmieniło się prawo wodne, a wraz z nim skoczyły w górę stawki m.in. za grunty państwowe pokryte wodami, czyli porty, mariny, pomosty, przystanie, z których korzysta się nie tylko na Mazurach. Mało znaczące? Proszę. Jest taka instytucja jak Główny Geolog Kraju, który poskładał sobie, że wszystkie kopaliny z ziemi wzięte stanowią własność skarbu państwa, więc wymagają koncesji. Wszystkie to nie tylko węgiel czy kruszywa z kamieniołomów. Nakopiesz gliny czy piachu z własnego pola bez zgody – przestępstwo. Chcesz kopać bursztyn – płać i to grubo. Stawka ma skoczyć do 300 zł za kilogram wydobytego jantaru (jest 10,26 zł). To na szczęście jeszcze projekt, ale pewnie przejdzie. To, że wszyscy bursztynnicy podnieśli larum, niewiele zmienia. Do kar za nielegalne wydobycie bursztynu mają dołączyć również kamienie szlachetne, półszlachetne i... meteoryty. Dlatego śledźcie przepisy, bo wkrótce obwieszczając, że nie szukacie zabytków tylko meteorytów, możecie wpaść z deszczu pod rynnę. Wiadomo – kasa, misie, kasa...

Jak coś macie, to piszcie:
biczakrad@gmail.com